

Zapowiada się żywiołowy sezon spektakli w Teatrze Wybrzeże

● Jesteśmy sprawną machiną - mówi Adam Orzechowski, dyrektor gdańskiej placówki teatralnej

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych programów



Dziennik Bałtycki

79 lat

Piątek
4.10.2024

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 232 (24 290) // Rok 79
Cena 5,80 zł (w tym 8% VAT)

Kości z Westerplatte. Kim byli ludzie, których szczątki odkryto na półwyspie? **str. 4-5**



Gumed jak Harvard. O kształceniu medycznych kadr **str. 12-13**

Zamglone poranki, krótkie dni... Schyłek lata - najtrudniejszy okres w całym roku **str. 14**

100 wpływowych KOBIET
Kobiety, które inspirują. Pierwsza prezentacja **str. 17**

Magazyn Puls

Marek Konkolewski: Zabójcą drogowym jest także ten, kto rażąco łamie przepisy **str. 20-21**

DAWNE SERIALE

Gdzie ta przyjaźń? Gdzie te podwórka?

Co wy tam w telewizji pokazujecie? Jakies gangi młodzieżowe, margines społeczny, bazy... tak jakby nie było przyzwoitych organizacji młodzieżowych... - tak jeden z partyniaków recenzował znany w PRL-u serial dla młodzieży pt. „Stawiam na Tolka Banana”. Tymczasem projekt Stanisława Jędryki z miejsca stał się przebojem. Bo nie oferował tylko i wyłącznie rozrywkowego przesłania.
Czytaj str. 26

FELIETON NACZELNEGO

Ufamy bezgranicznie aplikacjom

W Gdańsku nawigacja Google Maps wprowadziła w błąd jednocześnie, w tym samym czasie, setki kierowców. W konsekwencji jechali przez miasto, korkując je w skali dawno tu nie widzianej.
Czytaj str. 2

O TYM SIĘ MÓWI TWÓRCA PIRAMIDY FINANSOWEJ, DECYZJĄ SĄDU, POZOSTAJE ZA KRATAMI

Amber Gold: ruiny po złotym biznesie



Milionowe straty, tysiące poszkodowanych, sterty akt i sejmowa speckomisja. Afera Amber Gold nieuchronnie przykrywa się kurzem, ale były prezes spółki, Marcin Stefański-Plichta, dalej pozostaje za kratami. Sąd nie zgodził się na jego przedterminowe zwolnienie. Mimo upływu lat w sprawie Amber Gold wiele pytań pozostaje nadal bez odpowiedzi. Ci, których kusili reklamy lokat w złoto, pieniędzy nie odzyskali **str. 8-9**

Nr ISSN 2353-6160

Nr indeksu 350-028



TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi	PONIEDZIAŁEK ● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze	ŚRODA ● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia	CZWARTEK ● Coś dla miłośników historii kryminalnych...	PIĄTEK ● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls
---	---	--	--	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaltycki.pl

Nowoczesne technologie i aplikacje z pewnością poprawiają jakość naszego życia. Jesteśmy niemal uzależnieni od niektórych aplikacji i często ufamy im bezgranicznie, choć intuicja i zdrowy rozsądek podpowiada nam, że coś tu jest nie tak.

Pewnie każdy słyszał podobną historię od wuja na weselu, jak to nawigacja samochodowa wyprowadziła go w pole. Niejednokrotnie i mnie się to zdarzyło, szczególnie gdy jeździłem rowem po kaszubskich lasach. Nawigacja Google Maps bardzo źle działa na leśnych drogach i nie raz pojechałem przez nią nie tam gdzie trzeba. Takie sytuacje się zdarzają i opowiadamy je sobie jako anegdoty z wakacji.

W ostatni wtorek doszło jednak do sytuacji kuriozalnej, bo nawigacja Google Maps wprowadziła w błąd jednocześnie, w tym samym czasie, setki kierowców w Gdańsku. Od tego dnia obowiązywała nowa organizacja ruchu na węzle Gdańsk Południe, bo w jego środku rozpoczęły się prace w ramach nowo powstającej Obwodnicy Metropolii Trójmiejskiej. Już sama zmiana organizacji ruchu spowodowała utrudnienia, a tu jeszcze dodatkowo okazało się, że przyczyniła się do nich popularna aplikacja, która błędnie pokazywała kierowcom, że przejazd obwodnicą jest niemożliwy. W konsekwencji setki kierowców sugerując się tym, co wyświetlał im telefon,jechało przez miasto korkując je w skali dawno tu nie widzianej.

FELIETON
NA FALI

Maciej Sandecki,
redaktor naczelny
„Dziennika Bałtyckiego”

GOOGLE MAPS
ZAKORKOWAŁ
GDAŃSK

Uliczy zator na ulicy Bulońskiej w Gdańsku w miniony wtorek

GDDKiA w Gdańsku zwała winę na operatora aplikacji, czyli giganta Google. Nie wiem, kto tam zawinił, ale zdaje się, że informacje

o zmianie organizacji ruchu czy zablokowanych drogach, Dyrekcja sama nanosi w aplikacji i najwyraźniej zrobiła to zbyt późno, aby ten komuni-

kat zaktualizował się na telefonach kierowców we wtorkowy poranek.

W komentarzach pod artykułami o tym zdarzeniu przewijały się często opinie, że przecież objazdy na drogach były dobrze oznakowane, tylko że duża część kierowców bardziej niż im zaufała znanej aplikacji samochodowej.

I tu dochodzimy do sedna. Nowoczesne technologie i aplikacje z pewnością poprawiają jakość naszego życia. Wiele osób wręcz nie potrafi bez nich funkcjonować. Jesteśmy niemal uzależnieni od niektórych aplikacji i często ufamy im bezgranicznie, choć intuicja i zdrowy rozsądek podpowiada nam, że coś tu jest nie tak.

Palicho z nawigacją, która od czasu do czasu wywiedzie nas w pole, gorzej gdy ufamy serwisom, które dzień w dzień wprowadzają ludzi w błąd np. szerząc rosyjską propagandę. To zagrożenie o wiele poważniejsze niż chwilowe korki, bo jak donosiły ostatnio media w Polsce i na Zachodzie, Rosja za pomocą tysięcy kont na platformie X i fałszywych stron internetowych, sęczy swój propagandowy przekaz, w którym polaryzuje społeczeństwa, podważa wsparcie dla Ukrainy czy zaufanie do Unii Europejskiej i NATO. I w ten sposób kształtuje opinię publiczną w krajach UE i USA. Chciałbym więc doczekać czasów, że przy rodzinnym stole będziemy żartować nie tylko z tego, jak nawigacja wyprowadziła wuja w pole, ale także z tego jak rosyjska propaganda nabiła kogós w butelkę. ©©

POGODA NA WEEKEND

Piątek

12°C
8°C



Wiatr pld.-wsch.
9 km/h

Uwaga
Możliwe przejaśnienia w ciągu dnia

Sobota

12°C
7°C



Wiatr wsch.
13 km/h

Uwaga
Bez opadów w ciągu dnia

Niedziela

12°C
8°C



Wiatr wsch.
10 km/h

Uwaga
Ciśnienie atmosferyczne będzie się obniżać

WAŻNE TELEFONY

800 190 590

– numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

– telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

– infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00



FOTOZAGADKA

Jak dobrze znasz Gdańsk i Pomorze? Kto zgadnie, jaki obiekt widać na fotografii? Naszym Czytelnikom proponujemy krajoznawczą zabawę - zagadkowy cykl skierowany do miłośników prac naszego fotoreportera Przemka Świdorskiego. Dziś pytamy, jakie miejsce lub jaki obiekt jest uwieczniony na zdjęciu. Łatwo nie będzie, ale rozwiązanie zagadki znajdzie się w piątek 4 października, dokładnie o godzinie 12.00, na stronie internetowej dziennikbaltycki.pl oraz na Facebooku „Dziennika Bałtyckiego”. (AT)

KURSY WALUT

3.10.2024

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48, Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego, Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

EUR	427/434 (+)	GBP	508/513 (o)
USD	386/393 (+)	CHF	455/460 (+)
GBP	507/514 (o)		
CHF	454/461 (+)		

Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska

EUR	428/433 (+)
USD	387/392 (+)
GBP	508/513 (o)
CHF	455/460 (+)

(+) wzrost ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (-) spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o) bez zmian

DYŻURNY
„DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego” i czekam na Państwa listy pod adresem: szymon.szadurski@polskapress.pl

Szymon Szadurski



POLSKA i ŚWIAT

KATOWICE

Szef Ministerstwa Sprawiedliwości Adam Bodnar wziął udział w rozmowie dotyczącej przestępstw przeciwko środowisku naturalnemu. Tłumaczył, że „sprawy dotyczące mafii śmieciowych to w zasadzie nowa odmiana przestępczości zorganizowanej”. Oceniał, że problemem w przypadku spraw środowiskowych często jest brak specjalizacji oraz wiedzy wśród śledczych, a także przewlekłość. | PAP

”

Mafie śmieciowe to w zasadzie nowa odmiana przestępczości zorganizowanej

Adam Bodnar, minister sprawiedliwości

Burza w sprawie tubek z alkoholem spowoduje zmiany w prawie

Oprac. Karolina Wrońska
Warszawa

Ministerstwo rolnictwa przygotowało nowe przepisy, zabraniające, by wygląd produktów alkoholowych nawiązywał do innych. To pokłosie burzy dot. tubek z napojami alkoholowymi.

Wygląd produktów alkoholowych nie może nawiązywać do innych produktów, zwłaszcza dla dzieci - powiedział minister rolnictwa Czesław Siekierski, informując, że jego resort przygotował projekt nowych przepisów w tej kwestii. Chodzi o głośną sprawę saszetek z napojami alkoholowymi, tzw. alkotubek.

Siekierski powiedział w środę dziennikarzom, że planowane przepisy mają uporządkować sposób oznakowania żywności tak, by nie wprowadzało ono konsumenta w błąd. Mają

też określić, w jakiej formie mogą być sprzedawane napoje spirytusowe.

Propozycje (...) bardziej dyscyplinują, jeżeli chodzi o przygotowanie oznakowania żywności, żeby ono nie wprowadzało w błąd konsumenta. Są także inne propozycje co do sposobu sprzedaży - w określonej formie, opakowaniu - produktów spirytusowych - wyjaśnił minister.

Pytany, jak mają być oznakowane produkty alkoholowe, Siekierski dodał, że ich wygląd nie może nawiązywać do innych produktów, zwłaszcza tych przeznaczonych dla dzieci, a napisy dotyczące zawartości produktu „muszą być bardziej wyraźne”. Minister zaznaczył, że takie regulacje znajdują się w dokumentach unijnych i w polskich przepisach, ale dotąd nie zostały w sposób jednoznaczny zapisane. Dopytywany, kiedy nowe przepisy wejdą w życie, Siekier-



Premier zlecił ministrom przygotowanie przepisów, które „wyeliminują systemowo tego typu zagrożenia”

ski poinformował, że najpierw na szczeblu międzyresortowym, tj. przy udziale Ministerstwa Zdrowia i Ministerstwa Finansów, zapadnie decyzja, czy bę-

dzie to rozporządzenie MRiRW, czy też rozwiązanie o charakterze ustawowym, „a więc ważniejsze niż samo rozporządzenie ministra rolnictwa”.

Dymisja dyrektora KCPU

Pytany o możliwe dymisje w resorcie rolnictwa Siekierski zaznaczył, że „nie może na to odpowiedzieć w sposób jednoznaczny, bo nie było istotnych błędów popełnionych przez współpracowników inspekcji czy resortów”.

Minister zdrowia Izabela Leszczyna powiedziała wczoraj, że odwołany ze stanowiska dyrektora Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniu Piotr Jabłoński zlekceważył informację o tzw. alkotubkach.

Leszczyna w radiu ZET była pytana, dlaczego Ministerstwo Zdrowia zareagowało na informację o sprzedaży alkoholu w tubkach przypominających opakowania musów owocowych dopiero we wrześniu, skoro informację na ten temat otrzymało już w lipcu.

Były określone pisma organów, które muszą wydać pewne pozwolenia. Takie pismo przyszło do KCPU i do departamentu MZ. Zarówno osoba, która w MZ pilotowała tę sprawę, jak pan dyrektor Centrum (Jabłoński - przyp. PAP), w mojej ocenie zlekceważyli tę informację, odpisując, że w świetle obowiązującego prawa w zasadzie nie ma żadnego przekroczenia przepisów - powiedziała Leszczyna.

Minister, dopytywana o kulisy odwołania dyrektora KCPU, zaznaczyła, że Jabłoński „jest bardzo odpowiedzialnym człowiekiem i sam złożył dymisję”, którą ona przyjęła.

Główny inspektor jakości handlowej artykułów rolno-spożywczych Przemysław Rządziejewicz, powołując się na wyniki przeprowadzonych kontroli, poinformował, że saszetek z napojami alkoholowymi nie ma już w sklepach. PAP

„Siła Kobiety”. Powraca kolejna odsłona naszej jesiennej akcji. Pamiętajcie o profilaktyce raka piersi!

Kamila Kubik
Gdańsk

Profilaktyka jest naszym kołem ratunkowym. Dzięki wczesnemu wykryciu choroby możemy uniknąć najgorszego. Przez cały październik będziemy o tym przypominać. Zorganizowaliśmy też wystawę 12 zdjęć kobiet, które usłyszały diagnozę „nowotwór”, ale zawańczyły o życie.

Zdjęcia fotografii Anny Zielińskiej pojawiają się niebawem w kilku miejscach na Pomorzu. Jednak zobaczycie je nie w galerii sztuki, ale w centrach handlowych - wracając z pracy, robiąc zakupy... Przed obiektywem stanęło 12 silnych kobiet, każda z nich w artystyczny sposób postanowiła podzielić się

swoją historią - pokazać siłę, piękno i przede wszystkim zachęcić do badań. Wszystkie powtarzają - nawet jeśli badania budzą lęk, pokonajcie go. Odkładanie decyzji to nic dobrego. Położna zaangażowana w akcję profilaktyczną podpowiada, by badanie było prezentem, który same sobie zrobimy np. na urodziny. Dobrym rozwiązaniem jest też zaplanowanie wizyty w październiku. Bez względu na to, jakie rozwiązanie wybierze, po prostu to zróbcie.

Prace artystki Anny Zielińskiej będzie można oglądać już od poniedziałku:

● 07.10.2024-13.10.2024 w Centrum Handlowym Auchan w Rumii

● 14.10.24-20.10.24 w Centrum Handlowym Auchan w Gdańsku, ul. Szczęśliwa.



Rak piersi stanowi blisko jedną czwartą wszystkich zachorowań na nowotwory złośliwe u Polek

Mammobusy na Pomorzu

Panie w wieku od 45. do 74. roku życia będą mogły wykonać bezpłatną mammografię:

● 7 października: Kosakowo - OSP w Kosakowie, ul. Chrzastowskiego 44; Krokowa - przy ul. Żarnowieckiej, wjazd od strony Banku Spółdzielczego; Jastarnia - przy Miejskim Zarządzie Portu, ul. Portowa 43.

● 8 października: Luzino - przy Hali Widowiskowo-Sportowej, ul. Mickiewicza 22; Łęczycze - przy Zespole Szkół, ul. Topolowa 1.

● 9 października: Choczewo - przy Urzędzie Gminy, ul. Pierwszych Osadników 17; Bojano gm. Szemud - przy remizie OSP, ul. Wybickiego 17; Gniewino - przy OSP, ul. Strażacka 2.

● 10 października: Cewice - Parking przy Nadleśnictwie, ul. Witosa 39; Kobylnica - przy Gminnym Centrum Kultury i Promocji, ul. Wodna 20/4.

● 11 października: Główny - przy Hali Sportowej, ul. Skórzyska 5; Kępice - na placu Wolności; Damnica - przy Centrum Kultury i Edukacji, ul. Witosa 13.

Aby wziąć udział w badaniu, wystarczy wcześniej się zapisać. Można m.in. skorzystać z rejestracji online poprzez stronę www.genevatrust.pl/site/rejestracja.php lub zadzwonić pod numer 58 767 34 44. Na badanie trzeba zabrać ze sobą dokument tożsamości. Na miejscu jest poczekalnia oraz przebieralnia. Badanie trwa zaledwie pięć minut i dla zdecydowanej większości pań jest całkowicie bezbolesne. ©©

ORGANIZATORZY

PARTNERZY PROJEKTU

Dziennik
Bałtycki

MM trendy

ona
- STRONA KOBIEC -

Centrum Pięknej Kobiety
Małgorzata Zawadzka-Cebala



NAUKA

Zwiększamy liczbę studentów Polaków kosztem studentów zagranicznych. Gdy za dobrych kilka lat będziemy mieli faktycznie nadmiar lekarzy na rynku pracy w Polsce, to znowu będziemy ich kształcić na rynki zachodnie, bo szukając pracy, będą wyjeżdżali za granicę – mówi prof. dr hab. n. farm. Michał Markuszewski, rektor Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. **Str. 12-13**



FOT. MAT. PRASOWE

OBYCZAJE

Odchodzące lato zostawiało dary

Dzień, w którym lato spotykało się z jesienią, był momentem ważnym i magicznym – zamglone powietrze, zimne poranki i krótkie dni... **Str. 14**

KOŚCI Z WESTERPLATTE. PÓŁWYSEP KRYJE JESZCZE SPORO TAJEMNIC

Nie wiemy, ilu poległych i zamordowanych nadal skrywa Westerplatte – mówi Adam Dziewanowski, archeolog z Muzeum II Wojny Światowej, po niedawnym odkryciu trzech szkieletów na terenie dawnej Wojskowej Składnicy Tranzytowej. – Westerplatte było miejscem heroicznej walki polskich żołnierzy, ale też miejscem niemieckich zbrodni na cywilach – zaznacza Mateusz Jasik, wicedyrektor gdańskiej placówki

Tomasz Chudzyński

Jeden zginął od postrzału w plecy. Czy karabinowe kule zabiły dwóch innych, tego jeszcze nie wiadomo, choć bez wątpienia i do nich strzelano. Być może pociski strzaskały ich czaszki, a możliwe, że zostali do bicia uderzeniami kolb karabinów. Jeden z nich miał na sobie w momencie śmierci eleganckie spodnie z mankietem. Cała trójka miała na nogach cywilne skórzane półbuty. Któryś nosił okulary, a w kieszeni nosił grzebień. Inny miał na głowie czapkę, po wewnętrznej stronie z wyciśniętym napisem Bydgoszcz. Dwóch z nich mogło być krewnymi – ojciec i syn, bracia? Zginęli brutalnie zamordowani jesienią – możliwe, że w 1939 lub 1940 roku. Tyle na razie wiadomo o ludziach, których szczątki odnaleźli niedawno archeolodzy z Muzeum II Wojny Światowej w czasie prac badawczych na Westerplatte. Odkryli je w wykopie oznaczonym numerem 36, w pozostałościach jednego ze schronów na terenie dawnej Wojskowej Składnicy Tranzytowej. Wśród znalezisk znajdowały się łuski pocisków karabinu Mauser z roku 1922. Kontekst znaleziska jest jednoznaczny – pierwsze oględziny wskazują, że to polscy cywilni więźniowie zamordowani przez Niemców.

To była egzekucja

Wstępne oceny pozwalają także z dużym prawdopodobieństwem wskazać, jak zginęli ci trzej ludzie. Ich szkielety spoczywały w „układzie anatomicznym”, na brzuchu, twarzami do ziemi.



FOT. AGNIESZKA STAWORSKA

Wszyscy zamordowani byli mężczyznami w wieku pomiędzy 25 a 55 lat. Kontekst znaleziska jest jednoznaczny – pierwsze oględziny wskazują, że to polscy cywilni więźniowie zamordowani przez Niemców

– Na łopacie jednego ze zmarłych widoczny jest uraz określony wstępnie jako prawdopodobna przestrzelina – strzelający był ustawiony wyżej od klęczącej bądź siedzącej ofiary. Strzał padł od tyłu. Czaszki pozostałych dwóch ofiar były roztrzaskane, ale dopiero po ich zrekonstruowaniu i pogłębionej analizie będzie można stwierdzić, czy to także ślady po postrzałach, czy też np. uderzeń tępym narzędziem.

Przy jednym ze szkieletów odkryliśmy kolejną, trzecią już łuskę od amunicji stosowanej w karabinach Mauser, wyprodukowaną w 1922 roku. Łuski zostały przekazane do badań mechanoskopijnych, pozwalających stwierdzić, czy strzały oddano z jednego egzemplarza broni. Ze wstępnych ustaleń z udziałem antropologa wynika, że osoby te zostały zamordowane w miejscu ich odkrycia.

Najpewniej ludzi tych zapędzono do częściowo rozebranego schronu, który jako gotowy już dół, wybrano na miejsce egzekucji i zakopania zwłok – informuje Filip Kucma, kierownik Działu Archeologicznego Muzeum II Wojny Światowej.

Zachowały się pozostałości ubrań. Przy dwóch szkieletach widoczne były resztki szelek podtrzymujących spodnie, a przy trzecim – skórzany pasek.

Obok ciał znajdowały się także odłamki pocisków artyleryjskich.

– Wszyscy zamordowani byli mężczyznami w wieku pomiędzy 25 a 55 lat. Zauważone przez antropologa specyficzne anomalie w budowie kości zdają się wskazywać, że dwóch z nich może być spokrewnionych. Odnaleźliśmy także kilka kolejnych przedmiotów, takich jak fragmenty tkanin, guziki od koszul, okulary w futerałach, ołówki czy grzebień. Interesującym znaleziskiem okazały się pozostałości skózanego elementu czapki, tzw. potnika, z wyciśniętym napisem Bydgoszcz. To argument przemawiający za naszą hipotezą, że odnalezione osoby były obywatelami polskimi – więźniami niemieckiego obozu dla tzw. jeńców cywilnych, który funkcjonował na Westerplatte od września 1939 do czerwca 1941 roku. Bezpośrednio pod jednym ze szkieletów znaleźliśmy dobrze zachowany kasztan, co może oznaczać, że egzekucja tych osób odbyła się jesienią 1939 bądź 1940 roku – podkreśla Filip Kucma.

Dodajmy, szkielety odnaleziono poniekąd przypadkowo, w czasie badań, których celem było ustalenie dokładnej lokalizacji polskiego stanowiska armaty wz. 1902 kalibru 76,2 mm, tzw. putłowki. Armata była na wyposażeniu garnizonu na Westerplatte. Stanowisko składało się z dwóch drewnianoziemnych schronów (przeznaczonych dla obsady armaty i amunicji) oraz tzw. obrotnicy, czyli miejsca, z którego prowadzono ostrzał. Polscy żołnierze zdolali jej użyć na początku bi-

twy, rozgrywanej między 1 a 7 września 1939 roku.

Kim byli?

Są pewne tropy

Archeolodzy dokładnie oczyścili odnalezione szkielety. Na bazie tzw. fotogrametrii pochówków powstanie trójwymiarowy ich model. Szczątki zostały poddane wstępnym oględzinom antropologicznym, a następnie przetransportowane do Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie. Tam zostaną przeprowadzone szczegółowe analizy antropologiczne, sądowo-medyczne i genetyczne.

– Dysponujemy wstępnymi analizami historyków z Muzeum II Wojny Światowej, które mogłyby wskazywać na tożsamość osób, których szczątki znaleziono w zeszłym tygodniu na Westerplatte. Oczywiście konieczne będzie stuprocentowe potwierdzenie za pomocą badań DNA, do których potrzebujemy materiału porównawczego od bliskich krewnych. Zastosowanie mieć tu będzie procedura analogiczna przy identyfikacji szczątków obrońców Westerplatte odnalezionych w 2019 roku. Najpierw przeszukamy bazę PESEL sprawdzając, czy dostępni są potencjalni krewni. Jeśli to się potwierdzi, zwrócimy się z prośbą o zgodę na udział w badaniach genetycznych – podkreśla prokurator Tomasz Jankowski, naczelnik Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Gdańsku.

Przypomnijmy, działania Komisji oraz biegłych z PUM w Szczecinie pozwoliły na identyfikację 7 z 9 polskich żołnierzy,

których szczątki na Westerplatte w 2019 roku odnaleźli archeolodzy z Muzeum II Wojny Światowej. Dwóch poległych Westerplatczyków jednak nadal pozostaje bez ustalonej tożsamości. Wyniki badań genetycznych nie dawały stuprocentowej pewności. - Badania trwają, jednak przełomu w tej sprawie jeszcze nie mamy - mówi Tomasz Janowski.

Takich grobów może być więcej

Adam Dziewanowski, archeolog z Muzeum II Wojny Światowej, odnalezione niedawno szczątki trzech osób, podobnie jak Filip Kuczma, wiąże z funkcjonowaniem na Westerplatte, utworzonego przez Niemców, obozu dla więźniów cywilnych. Aresztowani w pierwszych dniach wojny w Gdańsku i na Pomorzu Polacy wykonywali tu niewolniczą pracę. Usuwali m.in. skutki bitwy z początku września 1939 roku - amunicję (niewybuchy, niewypały), powalone eksplozjami drzewa.

- Początkowo spędzono na Westerplatte jeńców cywilnych z tymczasowego więzienia urzędującego w gdańskiej Victoriaschule, później pracowali tu również więźniowie z obozu w Nowym Porcie i Stutthof. Pierwsi byli tu już 8 września, dzień po kapitulacji załogi Wojskowej Składnicy Tranzytowej. W sumie obóz na Westerplatte funkcjonował do czerwca 1941 roku. Wydawałoby się, że to okres stosunkowo krótki, niemniej obfitował w bardzo brutalne wydarzenia. Więźniowie wykonywali tu niebezpieczne, trudne, wyczerpujące pod względem fizycznym i psychicznym prace, nadzorowani przez brutalnych strażników, wywodzących się z różnego rodzaju formacji nazistowskich, w tym SS. Więźniowie byli na Westerplatte mordowani, m.in. rozstrzelano grupę osób chorych, których spędzono na półwysep pod pretekstem prac pomocniczych - wskazuje Adam Dziewanowski.

Podobnie twierdzą dr Karol Nawrocki, były dyrektor Muzeum II Wojny Światowej, dziś prezes Instytutu Pamięci Narodowej, a także dr Jarosław Tulisza, historyk zajmujący się m.in. tematyką Wojskowej Składnicy Tranzytowej.

- To właśnie Westerplatte dla części więźniów cywilnych z Gdańska i Pomorza stało się miejscem śmierci - wskazywał Karol Nawrocki.

- To, że Niemcy wykorzystywali teren Westerplatte jako miejsce kaźni cywilnych wię-

niów, ma swoje potwierdzenie w wielu źródłach. M.in. są relacje więźniów KL Stutthof, którzy byli świadkami egzekucji, m.in. żydowskich mieszkańców Wolnego Miasta Gdańska i Pomorza - potwierdza dr Jarosław Tulisza. - Bardzo prawdopodobne, że w różnych częściach półwyspu ludzkich szczątków jest więcej i należy chwalić, że żmudne, czasochłonne prace archeologiczne są kontynuowane. Widać, że Westerplatte kryje w sobie jeszcze sporo tajemnic z tamtego okresu.

Przedstawiciele Muzeum potwierdzają tę tezę. Podkreślali od razu, że nie można wykluczyć, że pod odnalezionymi ostatnio szczątkami nie znajdują się kolejne. Będą to sprawdzać.

Jednocześnie Adam Dziewanowski przyznaje, że odnalezione niedawno szczątki są pierwszymi, które można powiązać z niemieckimi mordami na więźniach cywilnych na Westerplatte.

- Jeśli wstępna identyfikacja ludzkich szczątków i najbardziej prawdopodobny kontekst ich śmierci znajdzie swoje potwierdzenie w toku dalszych badań, odkrycie archeologów z Muzeum II Wojny Światowej będzie miało trzy główne wymiary. Przede wszystkim umożliwi godny pochówek osób, które najprawdopodobniej były cywilnymi ofiarami niemieckich zbrodni. W drugim wymiarze uzupełni wiedzę o historii półwyspu, w istotny sposób wpływając na stan badań historycznych. W końcu jest dla nas zobowiązaniem, aby zwiedzający przyszłą wystawę główną Muzeum Westerplatte dowiedzieli się, że półwysep był miejscem heroicznej walki polskich żołnierzy, ale też miejscem niemieckich zbrodni na cywilach. Zarówno losy półwyspu, biografie jego obrońców z 1939 r., jak i martyrologia tutejszych więźniów mogą stanowić swego rodzaju syntezę polskiego doświadczenia XX wieku - ocenia Mateusz Jasik, zastępca dyrektora Muzeum II Wojny Światowej ds. popularyzacji.

Shukamy do skutku

Warto zwrócić uwagę, że archeolodzy z Muzeum II Wojny Światowej wciąż poszukują na Westerplatte m.in. szczątków strz. Mieczysława Krzaka, jednego z 15 poległych żołnierzy załogi Wojskowej Składnicy Tranzytowej w czasie bitwy na początku września 1939 r. Strz. Krzak zginął w niewyjaśnionych okolicznościach na przedpolu placówki „Fort”, nawet data jego śmierci nie jest pewna. Koledzy



Odnalezione szczątki będą szczegółowo badane. Są już pierwsze tropy dotyczące tożsamości osób. Na zdjęciu: okulary, które musiał nosić jeden z zamordowanych



Jeden z zamordowanych miał na sobie w momencie śmierci spodnie z mankietem. Cała trójka nosiła cywilne skórzane półbuty

OSIEM LAT BADAŃ

Badania archeologiczne są prowadzone na Westerplatte od 2016 r.

W ramach badań szczegółowo przebadano obszar ponad 7,5 tys. mkw. i oczyszczono z materiałów wybuchowych i niebezpiecznych ponad 13,5 ha. Zespół archeologów odkopał szczątki ośmiu niemieckich żołnierzy z 1945 roku. Odkryli również szczątki żołnierza, który zginął w trakcie zajmowania Gdańska przez Sowietów w 1945 roku. Prawdopodobnie był to żołnierz radziecki. Najważniejszym odkryciem dla polskiej pamięci, bez wątpienia było odnalezienie w 2019 roku mogiły dziewięciu polskich żołnierzy - obrońców Wojskowej Składnicy Tranzytowej, poległych w czasie walk we wrześniu 1939 r. Uroczysty pogrzeb obrońców Wojskowej Składnicy Tranzytowej odbył się pod koniec 2022 roku na Cmentarzu Żołnierzy Wojska Polskiego na Westerplatte. Dzięki badaniom archeologicznym udało się pozyskać ponad 82 tys. zabytków, w tym 32 tys. artefaktów o dużej wartości historycznej, ekspozycyjnej i naukowej, obrazujących burzliwą historię półwyspu od połowy XVII do XX w. Znaczną część pozyskanego zbioru stanowią przedmioty związane ze służbą żołnierzy.

złożyli ciało Krzaka, jeszcze w czasie walk, w płytkim rowie na skraju plaży i lasu, przykryli gałęziami. Po bitwie jego szczątki zostały odnalezione. Miały być następnie oblane benzyną przez niemieckiego żołnierza i podpalone, o czym wspominali świadkowie - cywilni więźniowie pracujący na Westerplatte. Niewykluczone, że na Westerplatte spoczywa jeszcze kpr. Andrzej Kowalczyk (za którego przez wiele lat uważano szczątki niemieckiego żołnierza).

Co ważne, w czasie prac archeologicznych odnaleziono obok poległych w 1939 r. Westerplatczyków kilku niemieckich żołnierzy i jednego żołnierza sowieckiego z czasów walk między Niemcami a Armią Czerwoną na początku 1945 r.

Adam Dziewanowski dodaje, że w historii półwyspu są, obok najbardziej śmiertelnych okresów w czasie II wojny światowej (obrona Wojskowej Składnicy Tranzytowej we wrześniu 1939 r., funkcjonowanie obozów dla jeńców cywilnych oraz walki z 1945 r.) jeszcze inne epizody, w których ginęli ludzie. To choćby rok 1813, w czasie wojen napoleońskich, gdy lądująca na półwyspie armia rosyjska, wspierana przez brytyjską flotę, poniosła z rąk francuskich żołnierzy krwawe straty. Również z tego okresu archeolodzy znajdują na Westerplatte artefakty, choćby armatnie i kartaczowe kule.

- Trudno jest określić precyzyjnie liczbę poległych na Westerplatte, nawet jeśli mówimy tylko o okresie II wojny światowej. Na pewno jest to liczba duża. Nie wiemy też, ilu poległych i zamordowanych nadal skrywa półwysep. Zwróćmy uwagę, że w 2019 r. odnaleźliśmy na Westerplatte szczątki dziewięciu polskich żołnierzy poległych w trakcie obrony Składnicy. Znajdowali się oni na Westerplatte, mimo że jeden z jeńców cywilnych pracujących na półwyspie w początku 1940 r. twierdził, że ciała poległych ekshumowano i wywieziono - zaznacza Adam Dziewanowski. - Uważamy, że najważniejsza w naszych badaniach jest konsekwencja. Proszę pamiętać, że potrzebowaliśmy trzech sezonów badawczych na odnalezienie stanowiska armaty, którą mieli na wyposażeniu żołnierze WST. Przy poszukiwaniach szczątków strz. Mieczysława Krzaka, ale też i innych polskich żołnierzy, którzy wciąż mogą spoczywać na Westerplatte, musimy po kolei eliminować wszystkie potencjalne lokalizacje. Do skutku. ©

„ Adam Dziewanowski, archeolog z Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

Więźniowie wykonywali na Westerplatte wyczerpujące, niebezpieczne prace, nadzorowani przez brutalnych strażników

TU MAJĄ DZIAĆ SIĘ CZARY

Jesteśmy sprawcami czegoś, co można nazwać twórczym fermentem – mówi Adam Orzechowski, dyrektor Teatru Wybrzeże

Grażyna Antoniewicz

„Myślę o teatrze jak o sprawnej maszynie, dzięki której wszystkie marzenia twórców mogą być zrealizowane. Bo teatr to jest takie miejsce. Tu mają się czary dziać. Teatr powinien być miejscem otwartym na pomysły, twórczy ferment” – powiedział pan 18 lat temu obejmując dyrekturę gdańskiej sceny.

Od 2006 roku jesteśmy ciągle sprawcami czegoś, co można nazwać twórczym fermentem. Jesteśmy też bardzo sprawną maszyną teatralną. To, co się przez te lata wydarzyło, przerosło moje oczekiwania, bo przecież zrobiliśmy tak naprawdę nowy teatr. Jesteśmy w zupełnie innym miejscu na teatralnej mapie – odnosimy sukcesy, jeździmy na festiwalach, robimy przedstawienia, na które trudno się dostać, a nasza publiczność zaszczycza nas swoją obecnością, co stanowi dla nas nieustanny powód do dumy. Jesteśmy też teatrem, do którego wielu aktorów i reżyserów aplikuje, chcieliby tu pracować albo reżyserować.

Udała się panu rzecz niebywała, stworzyć fantastyczny zespół. Do gdańskiego teatru chodzi się, aby zobaczyć nie tylko gwiazdy: Mirosława Bakę, Dorotę Kolak czy Katarzynę Figurę, ale pojawili się też bardzo młodzi, utalentowani aktorzy. Mają swoich fanów: Piotr Witkowski, Robert Ciszewski, Katarzyna Kowalska i inni.

Tak, ale ten zespół oczywiście nie stworzył się w ciągu sezonu czy dwóch, tylko budowany był konsekwentnie przez całe lata, a to jest najtrudniejsze. My w polskich teatrach przychodzimy i siłą rzeczy dziedzi- czymy jakiś dorobek, jakiś zespół po poprzednikach. Wprowadzając nową jakość czy chcąc w ogóle „ruszyć bryłę z posad świata”, musimy narzucić pewną formę działania, która musi być konsekwentnie realizowana, a to jest dosyć trudne, bo w teatrze naprawdę jest dużo wyzwań. Jak pamiętamy, 18 lat temu ten teatr wymagał wielu napraw, remontów – wszystko sypało się, i to wszystko powoli musiało być z jednej strony zabezpieczane, potem trzeba było zaplanować zmiany i tak, po latach, powstała Stara Apteka, której nie było. Powstała Malarnia, która

była, ale została całkowicie zmodernizowana, tak jak i Duża Scena. Powstała też nowa scena w Sopocie.

Plany, projekty... Za chwilę Radek Stępień będzie robił...

„Wspólny pokój”. To młody reżyser, znany widowni z kilku przedstawień: „Śmierci komiwojażera”, „Fausta” i „Koła Sprawy Bożej”. Te spektakle zrobił we współpracy z dramaturgiem Konradem Hetelem. Teraz Konrad pisze dramat, który opowie o ludziach, którzy przybyli do Gdańska w 1945 roku i tu zaczęli nowe życie. Grany będzie na Scenie Malarnia. A wcześniej, w listopadzie planowana jest premiera spektaklu „Zmiana” według powieści francuskiego młodego autora Édouarda Louisa, w reżyserii Radosława Rychnika. Cieszę się też, że Agata Duda-Gracz, znakomita artystka, która po raz pierwszy spotka się z naszym zespołem w pracy, będzie robiła temat związany z Memlingiem i jego „Sądem Ostatecznym”.

To malarz, który niezmiennie inspiruje twórców. „Sąd Ostateczny” – opera w dwóch aktach Krzysztofa Knittla, miała premierę 8 listopada 2017 roku w Operze Bałtyckiej.

Prawdopodobnie nasz spektakl będzie nosił tytuł „Koniec świata”. To jest na pewno bardzo dobry temat. Próby zaczęły się w marcu przyszłego roku. Chcemy, żeby premiera była na rozpoczęcie nowego sezonu, w 2025 roku. Agata Duda-Gracz chętnie zajmuje się malarskimi tematami w teatrze. Kiedy rozmawialiśmy o współpracy, zaproponowała, że wyreżyseruje u nas sztukę o Rubensie. Powiedziałem, jeśli już, to zróbmy Memlinga, bo jego tryptyk „Sąd Ostateczny” w Muzeum Narodowym jest naszym skarbem. My, gdańszczanie, nie do końca chyba zdajemy sobie sprawę, że mamy dzieło, które jest porównywalne z obrazami Boscha i innych wybitnych malarzy europejskich.

Spektaklem, który zapewne wzbudzi wiele emocji, będzie „Potop” Henryka Sienkiewicza... Już widzę tę wrzawę, te dyskusje. Czy czeka nas targanie świętości?

Reżyserem i autorem scenariusza jest Michał Siegoczyński.

Artysta totalny...

... który pisze i myśli o różnych naszych mitach, powiązaniach literackich i zobowiązaniach. On je jakoś tam nakłuuwa, dekonstruuje, kompromituje. Myślę, że to będzie polemika z literaturą, filmem i z nami dzisiaj, bo mimo wszystko używając takiego tytułu, Michał Siegoczyński ciągle pisze o nas współczesnych.

„Potop” jest co jakiś czas wystawiany w teatrach.

Sienkiewiczowską Trylogię wiele lat temu w Starym Teatrze zrobił Jan Klata, a Jakub Roszkowski zrealizował „Potop” w Teatrze Śląskim w Katowicach. „Potop” jest wdzięcznym tematem, bo fajnie się rozmawia, jak wszyscy wiedzą, o co chodzi. Są oczywiście fani literatury Sienkiewiczowskiej, ten pisarz jest kochany i święty, ale są też tacy, którzy go nienawidzą. Książki Sienkiewicza zna znakomita większość dzięki Hoffmanowi, który wyreżyserował całą Trylogię. Pamiętam, jako młody człowiek, te dyskusje, czy Daniel Olbrychski może grać Kmicica po wcześniejszym zagranu Azji w „Panu Wołodyjowskim”...

Ikto powinien grać Olenkę, dlaczego wybrano Małgorzatę Braunek.

Dyskutowano o tym w tramwajach. Teraz tak raczej nie będzie. „Potop” widzowie zobaczą na Dużej Scenie. Piotrek Witkowski, który jest aktorem bardzo rozpoznawalnym, ma grać Kmicica. On zagrał zresztą wspaniale w spektaklu „Dziwaczyna, która podeptała chleb” w reżyserii Mariusza Grzegorzka. Nie oszczędzał się nawet w roli Psa.

To niewielka rola, ale bardzo chwalona.

W pełni zasłużenie. Będzie też „Brytanik” Racine’a w reżyserii Grzegorza Wiśniewskiego, z Dorotą Kolak, która zagra Matkę, królem Neronem będzie Piotr Biedroń, tytułowym Brytanikiem Robert Ciszewski. Ten dramat jest bardzo dobrze przetłumaczony przez Antoniego Libere i jest to tekst, myślę, niezwykle komunikatywny. Ra-

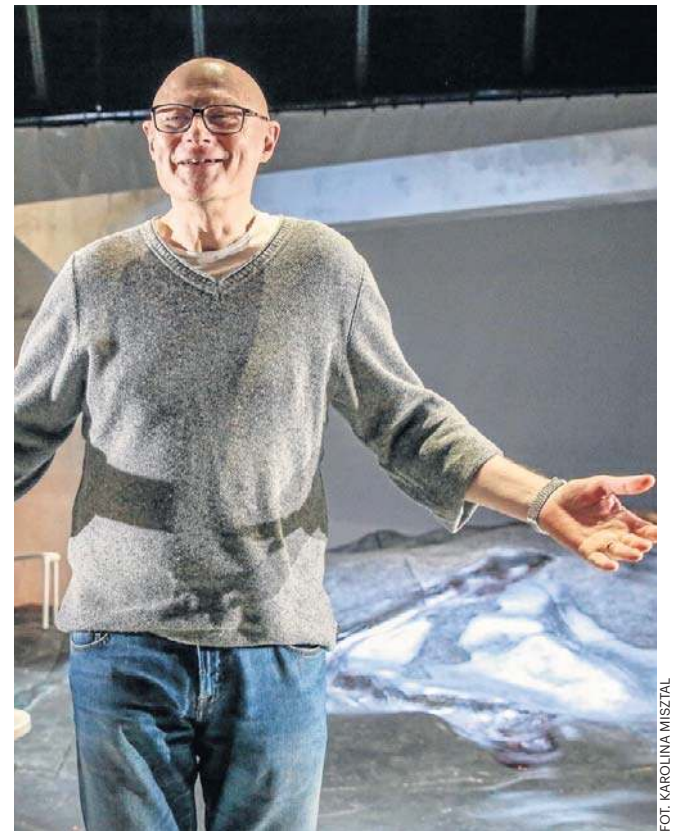
cine to klasyk, autor, który w sposób lapidarny potrafi zagłębić świat, relacje między ludźmi.

Pamiętamy znakomitą „Fedrę” Racine’a w reżyserii Grzegorza Wiśniewskiego na sopockiej scenie, była strzałem w dziesiątkę.

Tutaj też tak będzie. Ale zaskoczeń planujemy więcej. „Królowa piękności z Leenane” Martina McDonagha. To piękna, dobrze napisana sztuka. Jak kończyłem reżyserię, też chciałem zrobić irlandzkie sztuki McDonagha, proponowaliśmy je dyrektorom teatrów. Po latach przychodzi kolejne pokolenie, które się nimi interesuje, to znaczy, że są one wciąż dobre. Ten dramat będzie robił młody człowiek Radek Maciąg, który u nas reżyserował „Inteligentów”, a teraz wygrał Gdynską Nagrodę Dramaturgiczną. „Królowa piękności” jest tekstem okrutnym, o trudnych relacjach między matką a córką. Matkę zagra Dorota Kolak, a córkę Katarzyna Michalska, prywatnie jej córka. Ten tekst jest nadal mimo upływu czasu aktualny i niestety, ciągle bolesny. Opresyjne matki, czy w ogóle rodzice, zawsze będą się pojawiać, bo są wdzięcznym tematem dla teatru. Oczywiście, nie jest to dwuosobowa sztuka, bo jeszcze dwóch młodych mężczyzn będzie w obsadzie.

Zobaczmy też „Prowokacje” w pana reżyserii.

To jest przedziwny tekst. Nie wiem, czy tak się powinien nazywać, ale to współczesna sztuka, bardzo surrealistyczna, która daje nam sporo do myślenia o naszych dzisiejszych postawach. Z dramatu hiszpańskiego dramaturga „Trylogia rewolucyjna” Esteve Solera dokonaliśmy wyboru z Radkiem... kilku najlepszych historii. Jak je czytam, to widzę, że są one i okrutne, i celne w swoich diagnozach. To powinno być takie przedstawienie, które jest i śmieszne, i groźne, a dziać się będzie w jakimś surreálnym świecie. Ze zdziwieniem odkryłem, że to jest aż takie mocne i emocjonalne. Raptem się okazuje, że musimy stanąć po jakiejś stronie.



FOT. KAROLINA MISZTAŁ

Wszyscy, którzy tu przychodzą, widzą, że dzieje się tu dużo, jest energia. I tak ma być – mówi Adam Orzechowski, dyrektor Teatru Wybrzeże

Czy w tym sezonie pojawiają się nowi aktorzy?

Na razie nie, ale szukamy. Mamy cztery sceny i ambicję intensywnego grania przez cały czas. Myślę, że nie będziemy grali więcej niż pięćset spektakli w ciągu sezonu. To jest i tak bardzo dużo. Mamy znakomity zespół i nie jest on mały, ale to zespół, który jest intensywnie eksploatowany, nie mogę ich, jak to się kolokwialnie mówi, „zarać”. Bardzo wielu aktorów gra około stu przedstawień w ciągu sezonu. To naprawdę intensywność ponadnormatywna. Oczywiście, zarabiają przy tym, ale musimy zadbać, żeby te obsady były rozdzielane. To jest wyzwanie, bo nie gramy monodramów. Najczęściej są to duże przedstawienia, sześć, osiem osób na scenie to jest minimalna ilość. Szukamy wysokiej klasy specjalistów – pracowników obsługi sceny, którzy będą dźwiękowcami, oświetleniowcami, bo mamy bardzo rozwinięty park technologiczny – to jest już bardzo wyrafinowany poziom technologii. To samo z aktorami, ale też całym zapleczem technicznym, myślę o elektroakustykach, tych, którzy obsługują multimedia... To jest naprawdę dużo wyzwań.

Panie dyrektorze, reżyseruje pan także poza gdańskim teatrem.

Dwa lata temu Radek Paczocha napisał „Marię”, sztukę o niezwykłej łodziance Marii Kwaśniewskiej, pierwszej naszej olimpijce, która zdobyła brązowy medal na olimpiadzie w Berlinie, gdzie miała kontakt z Hitlerem, zamieniła z nim dwa zdania, zrobiono jej wtedy zdjęcie. Potem tym zdjęciem z Hitlerem uratowała wielu nie-

winnych ludzi z obozu przejściowego w Pruszkowie.

Kolejną realizacją w łódzkim Teatrze Powszechnym była sztuka „Biedermannowie”, owacyjnie przyjęta, miała też znakomite recenzje.

To przedstawienie zostało zrobione w maju tego roku. Ania Wakulik napisała tekst, który jest zapisem ostatniej godziny życia fabrykantów. Bruno Biedermann był potentatem, pół Łodzi do niego należało, ale też był człowiekiem, dzięki któremu Łódź się rozwijała. Mówiąc „fabrykant”, mamy bardzo często na myśli jakichś krwiopijczy. Tymczasem fabrykanci w latach trzydziestych już byli zupełnie inni. Biedermann był Niemcem z pochodzenia, ale był też kapitanem Wojska Polskiego, jego córka Maryla działała w konspiracji, była w AK, potem w obozie. Kiedy do Łodzi wkroczyła armia radziecka, Bruno Biedermann popełnił samobójstwo rozszerzone, zabijając córkę, żonę i siebie.

Czy jest coś, o czym pan marzy?

To nie jest tak, że zdobyliśmy teraz ileś tam nagród, że jesteśmy pozytywnie postrzegani i to jest już koniec, osiadamy na laurach. Ciągłe musimy sami ze sobą rywalizować, sami sobie stawiać poprzeczkę coraz wyżej, na tyle wysoko, żeby ona była elementem nieoczywistym. Jesteśmy ciągle w takim tyglu. „Musimy bardzo szybko biec, żeby ciągle być w tym samym miejscu”, że zacytuję „Alicję w Krainie Czarów”. Wszyscy, którzy tu przychodzą, widzą, że dzieje się tu dużo, jest energia. I tak ma być.

ARiMR z rolnikami już 30 lat

30 lat działalności i 488 mld zł przekazanych na rozwój polskiej wsi – to najkrótszy zapis historii Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, która w tym roku obchodzi jubileusz. Co się za tymi liczbami dokładnie kryje? Prawie 770 tys. nowych maszyn i urządzeń w gospodarstwach, ponad 2,5-krotny wzrost dochodów rolniczych rodzin, 3,7 tys. nowoczesnych zakładów przetwórczych, 10-krotny wzrost wartości eksportu produktów rolno-spożywczych, 9 tys. km nowych dróg lokalnych, 30 tys. km sieci wodno-kanalizacyjnych, spadek bezrobocia z 17,6 proc. do 3,3 proc. To efekty zmian w polskim rolnictwie i na obszarach wiejskich, które możliwe były dzięki finansowemu wsparciu płynącemu z ARiMR.

Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa powstała w 1994 r. Dziś jest największą rolniczą agencją płatniczą w Unii Europejskiej oraz jedyną instytucją w Polsce, która rozdysponowuje unijne i krajowe środki na rolnictwo, przetwórstwo rolno-spożywcze, rozwój obszarów wiejskich oraz rybactwo. Jakże konkretne zadania się za tym kryją?

Płatności bezpośrednie

To bez wątpienia kluczowe i największe pod względem skali realizacji zadanie ARiMR. W 2024 r. o płatności bezpośrednie wystąpiło ponad 1,2 mln polskich rolników, co stanowi 20 proc. wszystkich rolników wnioskujących o te dopłaty w UE. W minionych latach te liczby były wyższe. W pierwszym roku obowiązywania dopłat, czyli w 2004 r., do ARiMR trafiło dokładnie 1 400 370 wniosków. Najwięcej w całej historii tych płatności Agencja odnotowała w 2005 r. – 1 483 628. Potem już ta liczba spadała. Ma to związek z ubywaniem gospodarstw rolnych w Polsce, znikają przede wszystkim te małe. Z roku na rok rosła natomiast kwota płatności bezpośrednich przekazywanych rolnikom – od 6,3 mld zł w 2004 r. do około 16,5 mld zł w ostatnich latach. Łącznie w czasie dwóch dekad obowiązywania systemu dopłat Agencja przekazała z tego tytułu blisko 257 mld zł. Płatności bezpośrednie stanowią stabilną część dochodów rolników, niezależną od bieżącej produkcji czy sytuacji na rynkach rolnych. Zmniejszają także naturalne ryzyko związane z prowadzeniem działalności rolniczej i obniżają koszty prowadzenia gospodarstw. Najczęściej rolnicy przeznaczają otrzymane dopłaty na zakup środków do produkcji: nawozów, środków ochrony roślin, nasion, pasz. By sprostać zadaniu jak najsprawniej dystrybucji dopłat, ARiMR konsekwentnie rozwijała swój system teleinformatyczny. Przełomowy był rok 2018, gdy Agencja uruchomiła aplikację eWniosekPlus, która umożliwiła rolnikom występowanie



Fot. Adobe Stock

nie o płatności bezpośrednie i obszarowe bez wychodzenia z domu, za pośrednictwem internetu. To znacznie uprościło proces obsługi dokumentów oraz pozwoliło oszczędzić czas rolników.

Pieniądze na inwestycje

ARiMR jest także dysponentem środków przeznaczonych na modernizację gospodarstw i rozwój polskiej branży rolno-spożywczej. Na inwestycje na wsi przekazała do połowy bieżącego roku prawie 164 mld zł. Pieniądze te pochodziły z następujących europejskich programów pomocowych: SAPARD, Sektorowy Program Operacyjny „Restrukturyzacja i modernizacja sektora żywnościowego i rozwój obszarów wiejskich 2004-2006”, Plan Rozwoju Obszarów Wiejskich 2004-2006, dwie edycje Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich 2007-2013 oraz 2014-2020, a także Plan Strategiczny dla Wspólnej Polityki Rolnej 2023-2027. Jakże przedsięwzięcia za te środki finansowano? Ponad 20 mld zł trafiło za pośrednictwem ARiMR na konta rolników na modernizację gospodarstw. Za te środki kupili oni m.in. blisko 770 tys. maszyn i urządzeń rolniczych, w tym 88 tys. ciągników. Wybudowali lub wyremontowali blisko 23 tys. budynków służących działalności rolniczej.

Nowe inwestycje zwiększyły efektywność produkcji oraz pozwoliły na lepsze dostosowanie jej profilu, skali i jakości do potrzeb rynku. Wzrosła konkurencyjność gospodarstw, poprawiły się jakości żywności, warunki utrzymania zwierząt i bezpieczeństwo pracy. Dzięki wsparciu z Agencji 80 tys. młodych rolników zaczęło prowadzić samodzielną działalność. Szansę na rozwój otrzymały także małe rodzinne gospodarstwa. Ponad 73 tys. z nich skorzystało w ARiMR z premii na restrukturyzację – razem 4,4 mld zł. Polskie gospodarstwa wytwarzają obecnie produkty, których wartość globalna (w cenach bieżących) plasuje obecnie nasze rolnictwo na 5. miejscu w Unii Europejskiej, za Francją, Niemcami, Włochami i Hiszpanią. Ponad 8,8 mld zł otrzymała na inwestycje branża przetwórcza, która dziś należy do najnowocześniejszych w Unii Europejskiej. Pieniądze te umożliwiły m.in. powstanie lub modernizację ponad 3,7 tys. zakładów przetwórczych i wyposażenie ich w najnowsze technologie i urządzenia. W efekcie rozwoju inwestycyjnego w gospodarstwach rolnych i firmach przetwórstwa rolno-spożywczego Polska znalazła się w czołówce największych w Europie produ-

centów żywności, bije także rekordy w jej eksporcie. Od 2004 r. wartość sprzedaży zagranicznej polskich produktów rolno-spożywczych wzrosła 10-krotnie: z około 5 mld euro do prawie 52 mld euro w 2023 r. ARiMR ma również swój udział w rozwoju przedsiębiorczości na terenach wiejskich. Za przekazane przez nią pieniądze powstało blisko 86 tys. nowych miejsc pracy poza rolnictwem, a 33,5 tys. przedsiębiorców otrzymało pomoc finansową na tworzenie i rozwój swoich mikropodsiębiorstw. W katalogu inwestycji dofinansowywanych przez ARiMR są także te, których celem jest poprawa jakości życia mieszkańców terenów wiejskich, skrócenie infrastrukturalnego dystansu między wsią i miastem. Dzięki środkom przekazanych przez Agencję przez dwie minione dekady powstało m.in. 9 tys. km nowych dróg lokalnych, 30 tys. km sieci wodno-kanalizacyjnych, 79 tys. przydomowych oczyszczalni ścieków, wytyczono 2,3 tys. km ścieżek rowerowych i szlaków turystycznych, powstało lub zostało odnowionych 30 tys. obiektów, takich jak: świetlice, domy kultury, biblioteki wiejskie, budowle zabytkowe; zmodernizowano centra małych miejscowości, stworzono setki placów zabaw.

Pomoc krajowa

Kolejnym ważnym obszarem działalności ARiMR jest dystrybucja przeznaczonych dla rolnictwa i obszarów wiejskich środków z budżetu krajowego. Prawie 46 mld zł to kwota, która dotychczas została wypłacona w ramach tego wsparcia. Podstawowym instrumentem pomocy krajowej są dopłaty do oprocentowania kredytów bankowych. ARiMR ma je w swojej ofercie od 30 lat i przez ten czas przekazała z tego tytułu 18,3 mld zł. Agencja wspiera rolników także w sytuacjach kryzysowych. 6,5 mld zł otrzymali oni do tej pory na pokrycie strat powstałych na skutek niekorzystnych zjawisk pogodowych. Pomoc w wysokości 1 mld zł trafiła do producentów trzody chlewnej z obszarów objętych ASF. Pieniądze otrzymali oni na wyrównanie dochodów ze sprzedaży świń oraz utylizację zwierząt padłych z powodu afrykańskiego pomoru świń. Rekordowa kwota ponad 2,8 mld zł została wypłacona rolnikom ze środków krajowych tylko w jednym roku

– 2023 – w postaci dofinansowania do zakupu nawozów. Stało się to z powodu perturbacji gospodarczych wywołanych wojną na Ukrainie. Były one również powodem tegorocznej decyzji o wypłacie przez ARiMR dopłat do sprzedanego zboża. Z tego tytułu rolnicy otrzymali 2,1 mld zł. Środki z budżetu krajowego przekazywane są za pośrednictwem ARiMR również na utylizację padłych zwierząt gospodarskich. Zadaniem Agencji jest pokrywanie za rolnika części, a w niektórych przypadkach wszystkich kosztów związanych z unieszkodliwieniem padłych zwierząt. Od 2001 r., gdy rozpoczęto realizację tego programu, ARiMR przeznaczyła na ten cel blisko 1,94 mld zł.

Koła gospodyń wiejskich to kolejny beneficjent pomocy krajowej. Od startu programu wsparcia w 2018 r. do końca 2023 r. Agencja przekazała im na działalność statutową prawie 311 mln zł. W bieżącym roku zrzeszone gospodynie otrzymały do wykorzystania rekordową pulę środków w wysokości 130 mln zł. Pieniądze, które popłynęły do kół gospodyń wiejskich, ożywiły ich działalność, pozwoliły na realizację nowych projektów integrujących wspólnoty lokalne, pielęgnujących i popularyzujących lokalne tradycje, zwyczaje oraz dziedzictwo kulinarne małych ojczyzn.

Rejestry danych

By uzupełnić katalog najważniejszych zadań realizowanych przez ARiMR, należy wspomnieć także o prowadzeniu przez nią związanych z rolnictwem baz danych. Są to m.in.: System Identyfikacji i Rejestracji Zwierząt (IRZ), Ewidencja producentów, System identyfikacji działek rolnych (LPIS), Rejestr grup i organizacji producentów oraz ich zrzeszeń, Rejestr Upoważnionych Gwarantów czy Krajowy Rejestr Kół Gospodyń Wiejskich.



30 lat
Agencja Restrukturyzacji
i Modernizacji Rolnictwa



Marcin Stefański-Plichta latami zajmował stanowisko prezesa Amber Gold, mimo że prawo zakazywało mu sprawowania tej funkcji (zdjęcie archiwalne z 2016 roku)

AFERA AMBER GOLD: ZŁOTE GÓRY i zmierzch imperium



Parlamentarna spekomisja szybko stała się areną partyjnych potyczek pomiędzy politykami PiS a Platformy. Jej prace zakończyły się w roku 2019

Marcin Stefański-Plichta pozostanie za kratami. Tak we wtorek postanowił sąd, nie uwzględniając wniosku o przedterminowe zwolnienie z zakładu karnego

Jacek Wierciński

Przeszło pół miliarda złotych, których nie udało się odzyskać ponad 18 tysiącom pokrzywdzonych, jedno z najgłośniejszych śledztw i procesów ostatniego 35-lecia, a do tego para twórców piramidy finansowej powoli odzyskująca wolność. Afera Amber Gold wybuchła latem 2012 roku. Od tego czasu napisano o niej setki artykułów, badała ją sejmowa spekomisja, ale nadal wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi. Wróciła w tym tygodniu po decyzji gdańskiego sądu w sprawie byłego prezesa Amber Gold.

Krajobraz po bitwie

- Syndyk zmuszony był wytoczyć 2204 powództwa na łączną kwotę 35 503 966,00 zł, a następnie wszcząć 1600 egzekucji sądowych celem ściągnięcia wierzytelności. Kilka set spraw wymagało osobistego uczestnictwa w rozprawach oraz niezliczonej ilości pism procesowych i wniosków. Praca ta została wykonana przez zespół trzech osób, w tym jednego radcę prawnego wspomaganego początkowo przez studentów prawa, a następnie aplikantów radcowskich - wymieniał jesienią 2021 roku, sprawujący funkcję syndyka masy upadłościowej Amber Gold, radca prawny Józef Dębiński.

Podsumowując zakończony wówczas, trwający niemal dekadę, proces odzyskiwania należności złotego kolosa na glińskich nogach wyliczał, że przy nieocenionej pomocy studentów Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego, udało mu się odzyskać około 67,5 mln zł z potrzebnych poszkodowanym ponad 650 mln zł.

- Wszystkie środki finansowe z likwidacji Amber Gold

zostały przekazane wierzycielom i pokryto koszty związane z prowadzeniem postępowania upadłościowego, zatem już nie można liczyć na jakiejkolwiek środki z masy upadłości - zaznaczył syndyk, który dodał, że w dwa lata wysłane zostało łącznie 14222 przelewów (w tym ponad 2500 ponownych oraz 243 transferów na konto depozytowe sądu).

Obiecywali duże zyski

Jak działała niesławna, gdańska spółka i na czym polegały przestępstwa małżeństwa jego twórców?

Zanim sporządziła liczące 9345 stron pismem uzasadnienie swojego nieprawomocnego wyroku, na wokandzie opowiedziała o tym, w październiku 2019 roku, sędzia Lidia Jedynak z Sądu Okręgowego w Gdańsku.

Według jej relacji, Marcin Stefański-Plichta (wyraził zgodę na publikację nazwiska i wizerunku) próbował w śledztwie dowodzić, że prokuratura nie zna się na prowadzeniu biznesu w branży obrotu kruszcami.

Miał przy tym twierdzić, że ostatecznie doprowadzona do upadku przez „nagonkę medialną” firma dysponowała wręcz nadwyżką metali szlachetnych (było ich więcej niż wynosiły zobowiązania wobec klientów). Z kolei żona Marcina, Katarzyna P., jak wskazała sędzia, przekonywała, że jej „wiedza i świadomość była niewielka”, bowiem nie miała wglądu w system działania Amber Gold i przedsiębiorstwem faktycznie kierował mąż.

- Sąd nie dał wiary tym twierdzeniom - zaznaczyła przewodnicząca składu orzekającego, która tłumaczyła, że gdy w lipcu 2009 r. małżonkowie swoją wcześniejszą spółkę

przekształcili w Amber Gold, kapitał zakładowy tylko „na papierze” został ustalony na milion złotych, bo w rzeczywistości kwota ta nigdy nie została wpłacona. Tymczasem firma na każdym kroku podkreślała „bezpieczeństwo” oferowanych lokat w złoto, srebro i platynę oraz kredyty hipoteczne, a jej stawki oprocentowania znacząco przewyższały te oferowane na rynku.

Sędzia zwróciła uwagę, że w jej ocenie oskarżeni działali „wspólnie i w porozumieniu”, a z przestępstwa uczynili sobie stałe źródło dochodu. Jak wspomniano w ustnym omówieniu motywów orzeczenia, w siedzibie firmy zabezpieczono kruszce warte niewiele ponad 9 mln zł, podczas gdy z umów z klientami wynikało, że powinny mieć wartość ok. 588 mln zł. Amber Gold wprost nazwany został przy tym piramidą finansową, ponieważ wpłaty nowych klientów pozwalały mu finansować wypłaty dla tych wcześniejszych.

Na marginesie warto przypomnieć, że sporządzony przez prokuraturę akt oskarżenia zawierał około dziewięciu tysięcy stron w ponad 40 tomach akt, a odczytanie wspomnianego orzeczenia zabrało niemal pięć miesięcy, bo sąd musiał zawrzeć w nim nazwiska i podstawowe dane tysięcy pokrzywdzonych.

Czarne chmury

Nazywany w 2012 roku Marcinem P., 40-letni dziś Marcin Stefański-Plichta do 2009 r. ponad trzy miesiące spędził w więzieniu i kilkakrotnie skazywany był na wyroki pozbawienia wolności w zawieszeniu m.in. za wyłudzenia kredytów na tzw. słupy i oszustwa bankowe. Latami zajmował też stanowisko prezesa Amber Goldu, mimo że prawo wyraźnie zaka-

KOMISJA I KONTROWERSJE

Komisja śledcza ds. Amber Gold powstała w lipcu 2016 r.

Miała zbadać i ocenić prawidłowości i legalności działań podejmowanych wobec Amber Gold przez rząd, w szczególności ministrów: finansów, gospodarki, infrastruktury, spraw wewnętrznych, sprawiedliwości i podległych im funkcjonariuszy publicznych. Od-

była ona 132 posiedzenia, przesłuchiwała 15 tys. tomów akt sprawy i liczne dokumenty niejawnie. Przesłuchiwała też 141 świadków i przeprowadziła dwie konfrontacje. Szefowa komisji Małgorzata Wassermann, występując podczas debaty nad sprawozdaniem w imieniu klubu PiS, mówiła, że przez prawie trzy lata prac komisji zobaczyliśmy

na skalę niewyobrażalną patologię, która trawiła instytucje państwowe. Witold Zembaczyński (PO-KO) ocenił natomiast, że komisji nie udało się udowodnić, istnienia tzw. układu trójmiejskiego, łączącego środowiska przestępcze, biznes i polityków oraz tego, że PO-PSL roztaczały nad Amber Gold parasol ochronny.

zywało mu sprawowania tej funkcji.

Jednak gdańska spółka długo nie mogła doczekać się stanowczej reakcji śledczych. Choć pisma w jej sprawie od miesięcy krążyły pomiędzy Komisją Nadzoru Finansowego, Prokuraturą Generalną i podległymi jej gdańskimi jednostkami, to jeszcze wiosną 2012 roku z pomocą uruchomiona została nowa inwestycja firmy: oferująca tanie połączenia pomiędzy 10 krajowymi lotniskami i niemal 30 zagranicznymi liniami OLT Express.

Z ciemnych chmur gromadzących się stopniowo nad imperium lunęło dopiero w wakacje 2012 roku, zaraz po piłkarskim, polsko-ukraińskim Euro. Urząd Lotnictwa Cywilnego zawiesił OLT koncesję i pod koniec lipca firma ogłosiła upadłość, a trzy tygodnie później doszło do zatrzymania przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego Marcina Stefańskiego-Plichty.

W penitencjarnej izolacji nieprzerwanie przebywa on do dzisiaj - najpierw przez ponad 10 lat tymczasowo aresztowany, by później pozostać w celi już jako prawomocnie skazany na 15 lat więzienia (okres aresztu wlicza się do odsiadki, a jej terminowe zakończenie upłyne latem 2027).

Zatrzymana w kilka miesięcy po mężu, a następnie skazana na 11,5 roku pozbawienia wolności, została też wiceprezesa Amber Gold. Podczas pobytu za kratami Katarzyna P. zaszła w ciążę z pracownikiem więziennictwa i urodziła dziecko.

Odzyskać wolność

„Postanowieniem z dnia 15 maja 2023 roku Sąd Apelacyjny w Gdańsku zmienił zaskarżone postanowienie Sądu Okręgowego w Toruniu w ten sposób, że udzielił skazanej warunkowego przedterminowego zwolnienia z odbycia reszty kary pozbawienia wolności, poprzez wyznaczenie okresu próby do dnia 13 kwietnia 2026 roku, oddając w tym okresie skazaną pod dozór kuratora. Nadto Sąd Apelacyjny w Gdańsku zobowiązał skazaną w okresie próby do informowania kuratora sądowego o przebiegu okresu próby, wykonywania pracy zarobkowej oraz do naprawienia szkody wyrządzonej przestępstwem zgodnie z rozstrzygnięciem zawartym w wyroku” - informuje media, dopytujące o los Katarzyny P., przebywającej dziś od niemal półtora roku

poza więziennymi murami, Jarosław Szymczak z toruńskiego sądu.

Mniej szczęścia ma być mąż Katarzyny P., który uprawnienia do ubiegania się o warunkowe przedterminowe zwolnienie nabył po odbyciu 3/4 kary - z dniem 26 listopada 2023 r. - ale zdecydował się on starać wiele miesięcy później i to bez powodzenia.

- Sąd Okręgowy w Gdańsku postanowieniem z dnia 1 października 2024 r. nie uwzględnił wniosku pana Marcina Stefańskiego-Plichty o udzielenie warunkowego przedterminowego zwolnienia od odbycia reszty kary 15 lat pozbawienia wolności, orzeczonej wyrokiem Sądu Okręgowego w Gdańsku. Z uwagi na zawłóść sprawy sąd odroczył sporządzenie pisemnego uzasadnienia postanowienia. Motywy rozstrzygnięcia znane będą w ciągu siedmiu dni. Postanowienie jest nieprawomocne - relacjonował we wtorek po zakończeniu posiedzenia, które odbyło się w Areszcie Śledczym przy ulicy Kurkowej w Gdańsku, sędzia Mariusz Kaźmierczak.

Rzecznik Sądu Okręgowego w Gdańsku ds. karnych dodał, że na postanowienie w tej sprawie skazanemu przysługiwało będzie zażalenie, które rozpatrzone zostanie przez sąd II instancji.

W przypadku, jeżeli sądowa odmowa się uprawomocni, twórca Amber Gold kolejny raz o przedterminowe zwolnienie w tym trybie ubiegać będzie się mógł dopiero za rok.

Dodajmy, że starający się odzyskać wolność Marcin Stefański-Plichta nie korzysta z reprezentacji prawnika i „z uwagi na wymiar kary, nie może się on ubiegać o udzielenie zezwolenia na odbycie kary pozbawienia wolności w systemie dozoru elektronicznego”.

Szeroki obraz

Kilkanaście lat od momentu wybuchu afery pozostaje jedną z najgłośniejszych w III RP i wciąż skupia ogromne zainteresowanie. Wielu nie wierzy, że olbrzymie przedsiębiorstwo zbudowało na własną rękę młode małżeństwo z wykształceniem średnim ekonomicznym i niemal bez majątku.

„Analiza rozwoju grupy spółek Amber Gold, później OLT wskazuje, że mało prawdopodobnym jest, aby pomysłodawcą powstania piramidy finansowej był Marcin P. Założenie spółki łączy się z kosz-

tami notarialnymi, sądowymi, potrzebne były środki na wynajęcie lokalu, zatrudnienie pracowników, w tym prawników, którzy opracowywali projekty umów i regulaminów zarówno lokat, jak i pożyczek.

Opracowano stronę internetową, zaczęły pojawiać się pierwsze reklamy. Sytuacja finansowa Marcina P. wykluczała posiadanie środków na rozpoczęcie tego typu inwestycji” - napisano w (niedającym jasnej odpowiedzi na pytanie: kto za nim stał?) niemal 600-stronicowym opracowaniu sejmowej komisji śledczej ds. Amber Gold sygnowanym przez jej przewodniczącą, Ma-

gorzatę Wassermann z Prawa i Sprawiedliwości.

Parlamentarna speckomisa działająca w latach 2016-19 szybko stała się areną partyjnych potyczek, a wchodzący w jej skład posłowie Platformy Obywatelskiej, Krzysztof Brejza i Witold Zembaczyński, w złożonym zdaniu odrębnym, odnosząc się do innych wypowiedzi przewodniczącej, stwierdzali wprost: „wbrew deklaracjom od samego początku ostrze Komisji Śledczej miało być zwrócone przeciwko Donaldowi Tuskowi i Pawłowi Adamowiczowi, a ich rzekoma wina była już przesądzona przez PiS”.

Nietrudno dziwić się próbom wykorzystania Amber Goldu w politycznych bojach. W 2012 roku dla OLT Express pracował syn ówczesnego i obecnego premiera - Michał Tusk, a pod koniec 2011 r. w ramach spektakularnej uroczystości promującej tę linię, samolot po płycie gdańskiego lotniska ciągnęli członkowie, pomorscy reprezentanci Platformy Obywatelskiej.

Polityczne i czysto kryminalne wątki afery stały się tematem niezliczonych internetowych dyskusji i spekulacji, kilku książek, setek artykułów, audycji, telewizyjnych materiałów i wielu filmów (nie za-

wsze dokumentalnych, by przypomnieć nieudany, mimo gwiazdorskiej obsady, nawiązujący do sprawy nie tylko tytułem, fabularny „Solid Gold”).

Polska górą! - brzmiał slogan reklamowy OLT Express i niezależnie od poglądów na temat źródeł sukcesu, a później spektakularnej porażki Amber Goldu, pozostaje liczyć, że to bolesne, kompromitujące dla aparatu państwa doświadczenie, doprowadziło do uszczelnienia systemu nadzoru i wypracowania procedur, by podobny przypadek nie mógł się już powtórzyć.

©P

REKLAMA

0011169897



IM PROŚCIEJ, TYM LEPIEJ

Jak kredyt to dopasowany do potrzeb i oczekiwań



Taki jest właśnie Kredyt na szybkie wydatki

- do 50 000 zł, bez prowizji
- dla nowych Klientów Banku Pocztowego
- RRSO 12,67% dla przykładu reprezentatywnego

Niniejsze informacje nie stanowią oferty w rozumieniu art. 66 § 1 k.c. Decyzja i warunki kredytowania zależą od indywidualnej oceny zdolności kredytowej. Zmiana oprocentowania kredytu wpływa na koszt obsługi kredytu. Oferta nie łączy się z innymi preferencyjnymi ofertami kredytu gotówkowego. Kredyt udzielany jest od 1000 zł do 50 000 zł, na dowolny cel konsumpcyjny, okres kredytowania od 3 do 60 miesięcy. Z oferty mogą skorzystać nowi Klienci, którzy: otworzą konto osobiste w Banku Pocztowym S.A. przed podpisaniem umowy kredytowej oraz zapewnią na nim comiesięczny minimalny wpływ w wysokości 1000 zł przez cały okres kredytowania, podadzą adres e-mail, podadzą aktualny numer telefonu komórkowego, wyrażą zgody marketingowe, wyrażą zgodę na elektroniczne wysyłanie harmonogramów spłat kredytów. W przypadku braku wpływów na konto osobiste w okresie 2 następujących po sobie miesięcy, Bank podwyższy oprocentowanie kredytu o 2 p.p. bez możliwości powrotu do poprzedniej ceny. Oferta obowiązuje do 2 grudnia 2024 r. Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) dla reprezentatywnego przykładu wynosi 12,67% przy założeniach: kredyt udzielony w dniu 01 lipca 2024 r. na okres 51 miesięcy, bez ubezpieczenia, całkowita kwota kredytu 34 200,00 zł (bez kredytowanych kosztów kredytu), spłacany do 1. dnia każdego miesiąca w równych ratach w kwocie 859,17 zł, ostatnia rata wyrównująca 859,01 zł, oprocentowanie zmienne 11,99% w stosunku rocznym, całkowity koszt kredytu 9617,51 zł (w tym: prowizja 0,00 zł, odsetki 9617,51 zł), całkowita kwota do zapłaty 43 817,51 zł. Szczegóły oferty w placówkach Banku, pośredników kredytowych oraz na stronie www.pocztowy.pl.

Znajdź swoją placówkę na www.pocztowy.pl/placowki-i-bankomaty

Infolinia kredytowa: 52 34 99 599
Opłaty zgodne z taryfą operatora

W PAŹDZIERNIKU 2019 ROKU SĄD OKRĘGOWY W GDAŃSKU SKAZAŁ MARCINA STEFAŃSKIEGO-PLICHTĘ NA 15 LAT WIĘZIENIA ORAZ GRZYWNĘ W WYSOKOŚCI 159 TYS. ZŁ

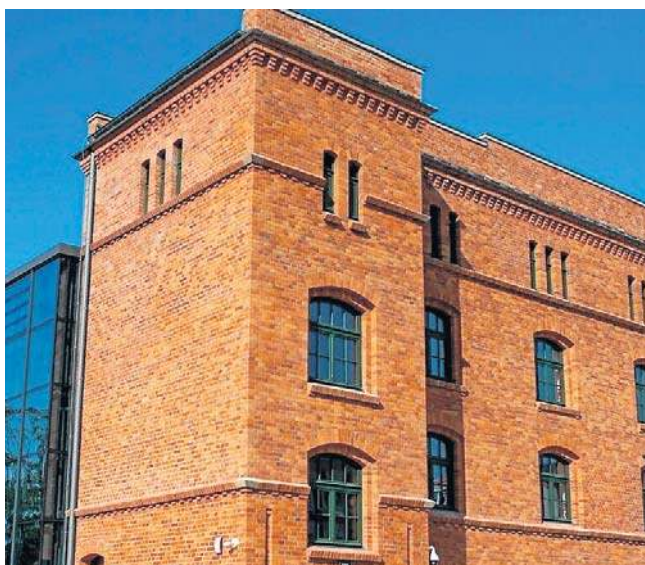
Witkacy, gdyby żył, to pewnie i w Słupsku by był

Rozmowa z Marzenną Mazur, dyrektorką Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, które w tym roku świętuje 100 lat muzealnictwa w mieście

Wojciech Lesner



Dużą część Białego Spichlerza w Słupsku (czynnego od 2019 roku) zajmuje ekspozycja dzieł Stanisława Ignacego Witkiewicza.



Czerwony Spichlerz stoi po sąsiedzku z Białym Spichlerzem. Niedawno zakończono jego remont, obecnie trwa wyposażanie wnętrza



Czerwony Spichlerz pomieści między innymi bibliotekę muzealną, sale edukacyjne, dodatkowe pracownie konserwatorskie oraz magazyny

To już 100 lat Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Niemieckiego dziedzictwa nie da się ukryć.

Jako muzealnicy czujemy się spadkobiercami tradycji historycznej i regionalnej, którą wyeksponowano już w 1924 roku. Wówczas powstało miejskie muzeum w Nowej Bramie i tam też po wojnie, na bazie zaledwie 10 procent obiektów, które udało się uratować, otwarto już polskie muzeum miejskie, dokładając z biegiem lat coraz więcej - również przywożonych przez osadników - obiektów zabytkowych. Naszą ideą jest, aby z okazji 100-lecia pokazać, jak nasze muzeum się rozwinęło.

Zaczęło się od Nowej Bramy, która obecnie ma prywatnego właściciela, a co było dalej?

Tak, zaczynaliśmy od Bramy Nowej - niewielkich i nieogrzewanych przestrzeni, ale już w latach 60. XX wieku został wyremontowany Zamek Książąt Pomorskich - z myślą o tym, by przeznaczyć go na potrzeby muzeum. Od 1965 roku funkcjonujemy również tam. Ta przestrzeń, którą przygotowano, powodowała, że nasi poprzednicy - muzealnicy mogli szukać nowych zbiorów, żebyśmy mieli co pokazać w tych ogromnych salach. Pojawiła się też potrzeba wyodrębnienia przestrzeni dla działu etnograficznego. Zdecydowano, że będzie to Młyn Zamkowy położony obok zamku. I tak od 1968 roku mieszciliśmy się już też

w Młynie Zamkowym. W latach 70. została wyremontowana Brama Młyńska, gdzie umieściliśmy pracownię konserwatorską, i dworek, w którym mieści się administracja. Nasi starsi pracownicy pamiętają, że pracownie i cała administracja przez kilka lat funkcjonowały jedynie w zamku. Jakoś tam się mieściliśmy, ale wraz z upływem lat rozrastaliśmy się i potrzebowaliśmy coraz większych przestrzeni. Kiedy padła propozycja, że jest możliwość przeniesienia Spichlerza Richtera z ulicy Kopernika na Rynek Rybacki, w pobliże zamku, to muzealnicy ochoczo do tego przystąpili. Bardzo się cieszę, że w 1998 roku oddaliśmy do użytku wyremontowany spichlerz - jego przeniesienie i rewitalizacja była ogromnym wyzwaniem - należało wbić potężne pale, bo teren był podmokły. Na jakiś moment zrobiło nam się luźniej, ale nie na długo, bo za chwilę okazało się, że mimo wszystko brakuje nam przestrzeni wystawowej dla działu sztuki współczesnej. Stąd nasze zabiegi o to, żebyśmy przejęli kolejne spichlerze - Biały i Czerwony. Ogromny ukłon w kierunku samorządu województwa pomorskiego i marszałka, który przekonał zarząd, żeby można było właśnie muzeum przekazać odkupione przez samorząd dwa spichlerze. Od razu wiedzieliśmy, co chcemy zrobić w tych obiektach. Powstała koncepcja, przystąpiliśmy do realizacji. Wiedzieli-

śmy, że musimy skorzystać ze środków unijnych. Projekt robiliśmy kompleksowo. Okazało się, że warunki konkursowe pozwalają nam na rewitalizację tylko jednego obiektu z wyposażeniem. Była decyzja do podjęcia - czy remontujemy dwa obiekty, czy jednak robimy kompleksowo tylko jeden budynek, a drugi poczeka na lepsze czasy. Wybór padł na Biały Spichlerz. Stwierdziliśmy, że lepiej przenieść wystawę i móc realizować je na pięciu kondygnacjach. Logistycznie urządzenie tych wystaw było naprawdę ogromnym wyzwaniem. Musieliśmy przenosić z magazynów eksponaty. I nieważne, czy obraz Matejki przewozi się 100 kilometrów czy 200 metrów - musimy jednakowo go zabezpieczyć i stąd ten ogromny wysiłek. Ale przy okazji przeprowadzki mogliśmy nadać nowe oprawy dla całej kolekcji Witkacego - to była ogromna praca naszego zespołu pracowników konserwatorskiej. Przez półtora roku nieosiągalne było oglądanie wystawy Witkacego, ale wszystkie jego prace zostały otwarte - można było je sfotografować i dobrać odpowiednie ramy. Narodziła się wtedy idea „Witkacy w słupskich spichlerzach sztuki”, która coraz bardziej dociera w Polskę. Bardzo nam na tym zależy.

Biały Spichlerz chyba w znacznym stopniu to ułatwia?

Dzięki przestrzeniom w Spichlerzu mogliśmy też pokazać nasze zbiory sztuki współczesnej, które były przez lata gromadzone. Przychodzą często osoby, które są koneserami sztuki, i są zdziwione, że mamy takie dzieła - Podkowińskiego, Słędzińskiego, Matejkę, Malczewskiego. Chcąc pokazać te zbiory równocześnie ze zbiorami Witkacego, opracowaliśmy ścieżki tematyczne, które pokazują na przykład jakiś pejzaż w porównaniu do pejzażu, jaki namalował Witkacy, czy autoportret w porównaniu do autoportretu Witkacego. Warto przyjść i zobaczyć te piękne ekspozycje.

Jeśli o Witkacego chodzi - jak jego dzieła w ogóle do Słupska trafiły? Przecież artysta żadnego związku z naszym miastem nie miał.

Wszystko było możliwe dzięki temu, że nasz ówczesny dyrektor Janusz Przewoźny poczuł, że może warto w to zainwestować. Pierwsze pastele zakupił do zbiorów muzealnych w 1965 roku - z tego też względu, że pojawił się zamek i trzeba było szukać prac, które można byłoby w nim pokazywać. Witkacy w latach 60. nie był na fali. Właściciel kolekcji, Michał Białynicki-Birula, syn Teodora - zakopiańskiego lekarza i bliskiego przyjaciela Witkacego - zamieszkał w Łęborku i miał kolekcję 110 prac Witkacego. Zachęcał do ich kupienia muzea w Warszawie, Krakowie i Zakopanem.

Wówczas nie było zainteresowania, ale nasz dyrektor zdecydował się na ten zakup. Dzięki temu rozpoczęliśmy zbieranie tych prac, udawało nam się kupować kolejne kolekcje. Obecnie mamy 264 prace Witkacego - przede wszystkim pastele. Chcemy pokazywać fenomen tego człowieka. To nie tylko artysta, ale i pisarz, literat...

... i chyba również, dzięki waszej kolekcji, jedna z wizytówek Słupska? Nie przypadkiem to właśnie u nas organizowane są konkursy, interpretacji czy literacki, pod jego patronatem. A także witkacowski wieczór z prawykonomi inspirowanymi jego twórczością w ramach Festiwalu Pianistyki Polskiej...

Myszę, że Witkacy może być symbolem miasta dla tych, którzy mieszkają w Słupsku. Oczywiście korzenie tego symbolu nie sięgają głęboko. Tak jak nasi rodzice i dziadkowie po wojnie osiedlali się tu, niekiedy zupełnie przypadkiem, tworząc własną rzeczywistość powojenną, tak samo dziełem przypadku było, że trafił tutaj Witkacy - zupełnie na drugą część antypodów Polski. Witkacy, jak wiadomo, związany jest z Zakopanem. Natomiast to, że trafił do Słupska, jest właśnie trochę... witkacowskie. Chichot historii.

Odwrotu już nie ma, Witkacy, czy tego chciał, czy nie, stał

się słupszczaninem. Kolekcja jego prac musi rosnąć.

Tak, mamy wspaniałą kolekcję i ciągle się ona powiększa. W zeszłym roku udało nam się dokupić kolejne dwa portrety, które sfinansował samorząd województwa. Pierwszy to portret matki Witkacego. Wcześniej mieliśmy już jeden, który podarował nam Maciej Witkiewicz, stryjeczny wnuk Witkacego. Z kolei Port Lotniczy w Gdańsku zasponsorował nam portret Tadeusza Pietrzkiewicza, też z rodziny Witkiewiczów. Mamy wiele propozycji kupna kolejnych dzieł, pojawiają się regularnie, ale to są ogromne pieniądze. Niemniej staramy się, jeśli jest taka możliwość, żeby wzbogacać tę kolekcję, bo to nie tylko pastele, prace olejne i rysunki, ale również archiwalia. Mamy tego bardzo dużo.

Albo muzeum nie tylko Witkacym żyje. Co jeszcze warto zobaczyć?

W Białym Spichlerzu pokazujemy na piątym piętrze „Osadników”. Jest to przepiękna wystawa mówiąca o tym, jak tutaj po wojnie zaczynało się życie. Tak jak przypadkiem Witkacy trafił do Słupska, tak część mieszkańców, często przez przypadek, osiadła tutaj i znalazła swój rodzinny dom. To są piękne opowieści. Bardzo dużo jest archiwaliów, które pokazujemy na tej wystawie, mówiących o tym, jak rzeczywistość po 1945 roku powstawała. Dla miłośników historii też się coś znajdzie. Przede wszystkim za-

mek jest miejscem, w którym pokazujemy część historyczną - to dziedzictwo Gryfitów, z którym warto się zapoznać. Są to przepiękne opowieści o naszych książkach, o wdowach. Przecież sam zamek swego czasu był nazywany wdowim zamkiem, bo trafiały tu żony naszych książąt. Jedną z nich była Anna de Croy, która była ostatnią mieszkanką naszego zamku. Mamy sarkofagi zarówno jej, jak i jej syna Ernesta Bogusława, które można oglądać. Mamy piękną kolekcję rzeźby gotyckiej, naczyń. Pokazujemy też na naszej nowej wystawie kolekcję sztucców, którą nie tak dawno wzbogacił się o kolejne zbiory. Pokazujemy przepiękną wystawę historii Słupska, gdzie jest mnóstwo interesujących eksponatów. Trzeba też pamiętać, że gros obiektów jest w magazynach - taka jest rola muzeów, żeby gromadzić, pielęgnować te artefakty przeszłości i w miarę możliwości je pokazywać. Bardzo często wędrują na wystawy czasowe do zaprzyjaźnionych muzeów. Jest oczywiście Młyn Zamkowy, w którym możemy zobaczyć sztukę ludową, rękodzieło, tkaniny, stroje regionalne. To nie tylko rzeczy pochodzące sprzed wojny, ale też te bardziej współczesne. Wystawy organizujemy też w Spichlerzu Richtera, często we

współpracy ze szkołami - chcemy pokazać, umożliwić młodzieży prezentację ich dzieł.

Muzeum Pomorza Środkowego to nie tylko Słupsk. Za miastem też jest chyba ciekawie?

Nasz kompleks bardzo się rozbudował. Patrząc z perspektywy tych 100 lat, szczególnie od 1995 roku, kiedy przeszliśmy do województwa pomorskiego i pod kuratelę urzędu marszałkowskiego, nie możemy narzekać, bo infrastruktura bardzo się powiększyła. Nie tylko w Słupsku, pamiętajmy o regionie. Rozbudowywały się Kluki - tam jest cudowne Muzeum Wsi Słowińskiej. Jest też stosunkowo nowa inicjatywa z 2008 roku, kiedy została otwarta pierwsza zagroda w Swołowie - dziś jest to Muzeum Kultury Ludowej, które kwitnie, jest znane, ma swoją markę. To nie koniec jego rozwoju. Przed nami rewitalizacja kolejnych dwóch ogromnych zagród czworobocznych w Swołowie. Jesteśmy mocno rozbudowaną instytucją. Pracuję w niej 40 lat. Kiedy przyszedłam, było nas, pracowników, około 30, była jedna zagroda w Klukach, przestrzeń w zamku i młynie, natomiast dziś pracuje nas blisko setka i mamy ogromną infrastrukturę. Opiekujemy się



FOT. LUKASZ CAPAR

Marzena Mazur jest dyrektorem Muzeum Pomorza Środkowego od 2013 roku. Za jej rządów instytucja wzbogaciła się między innymi o dwa wyremontowane spichlerze - Biały i Czerwony - w Słupsku. Renowacja drugiego z nich zakończyła się niedawno

zabytkami, bo trzeba pamiętać, że urządziliśmy się w obiektach wpisanych do rejestru zabytków - one też wymagają dużej troski.

Wygląda na to, że w muzeum nudy nie ma?

Mamy zespół pasjonatów. Wszędzie mówię, że do muzeum przychodzi się albo na rok,

albo na całe życie. Jesteśmy muzeum wielodziałowym, ale nie na tyle potężnym jak muzea narodowe, gdzie jest większy podział działań.

Każdy nasz pracownik w dziale merytorycznym pozyskuje środki, pozyskuje zabytki, wprowadza je do ewidencji zbiorów, bo taki jest nasz obowiązek. Organizuje wystawy, myśli nad tematami na zajęcia edukacyjne. Pracownicy mają pomysły na różnego rodzaju projekty, które chcą realizować. Uważam, że praca muzealnika jest niesamowicie rozwojowa, dająca ogromną satysfakcję. W naszej instytucji każdy jest od wszystkiego, dlatego że przenosi się obiekty - trzeba je pakować, przygotować na wystawę, ale też realizować publikacje. Pracownicy mają poczucie odpowiedzialności, że tworzą kolekcję, tak jak ich poprzednicy, kupując Malczewskiego czy Matejkę. To ogromne wyzwanie. Czasami spotykamy się z pytaniem: „Co wy w tym muzeum robicie? Taki spokój macie?”. Nie, tu nie ma spokoju. Swoim życiem żyją oddziały - tam jest mnóstwo imprez folklorystycznych, wydarzeń, które przyciągają turystów. W Słupsku też się dzieje - są autorskie wykłady, publikacje, wystawy. Nasza praca jest bardzo różnorodna, ciekawa i zachęcam tych, których nie wiedzą jeszcze, co robić w swoim życiu, żeby pomyśleli o muzealnictwie. ©©

REKLAMA

001175590



Konferencja

Nowy Przemysł 4.0

15-16 października 2024 r.
Międzynarodowe Centrum Kongresowe
w Katowicach

ZAPRASZAMY DO UDZIAŁU

WWW.NOWYPRZEMYSL.PL

- Przełomowe technologie w nowoczesnej produkcji
- Fabryka przyszłości: najciekawsze koncepcje i rozwiązania
- Wdrożenia w praktyce – case studies z Polski, Europy, świata
- Roboty, dane, sztuczna inteligencja
- Ludzie, kompetencje, edukacja

GUMED JAK HARVARD

– Chciałbym, żebyśmy wzmocnili w uczelni pewne mechanizmy, które już istnieją. Pracownicy powinni mieć prawo współuczestniczenia, czyli tak zwanej partycypacji w podejmowaniu decyzji, trzeba doceniać ich wysiłki, które są nie tylko ponadstandardowe, ale także podejmowane na rzecz rozwoju uczelni. Praca na naszej uczelni ma im dawać więcej satysfakcji – twierdzi prof. dr hab. n. farm. Michał Markuszewski, rektor Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego

Jolanta Gromadzka-Anzelewicz

Jest pan uczniem profesora Romana Kaliszana, rektora gdańskiej Akademii Medycznej w latach 2005-2008, i – jak pan – farmakologa?

Tak, oczywiście. Przeprowadzałem z profesorem Kaliszaniem 25 lat, prawie połowę mojego życia.

Czego pana nauczył?

Nie byłoby dużą przesadą, gdybym powiedział, że wszystkiego. Po spotkaniu z profesorem Kaliszaniem zrozumiałem, że jedynym miejscem, w którym chciałem pracować i realizować swoje pasje, jest uczelnia.

Od razu po studiach pan do niego trafił?

Studiowałem na kierunku farmacja. Miałem zajęcia z profesorem, który już wtedy dał się poznać jako doskonały nauczyciel akademicki i naukowiec. Zafascynowała mnie jego osobowość jako badacza. Poza tym profesor Kaliszana był człowiekiem bardzo do brym, życzliwym również dla studentów i oczywiście współpracownikami. Miał przy tym poczucie humoru, ale też bardzo poważnie mówił o ważnych tematach. Jeszcze podczas studiów, na piątym roku, dostałem od profesora propozycję podjęcia pracy w kierowanym przez niego Zakładzie Biofarmacji i Farmakodynamiki i udziału w jednym z naukowych projektów Polsko-Amerykańskiej Fundacji. Profesor miał taki grant i w jego ramach środki na zatrudnienie kogoś na etacie technicznym. Od tego czasu, a więc od 1994 roku, pracowałem z profesorem aż do jego nagłej śmierci w roku 2019, czyli przez prawie połowę mojego życia. Profesor przeżył zawał serca, my, jego współpracownicy, z niepoko-



Prof. Michał Markuszewski: Jeżeli nasza uczelnia będzie się rozwijała dynamicznie, to pieniądze się znajdują

jem obserwowaliśmy, jak pogarsza się jego wydolność krążeniowa. Mimo wszystko śmierć profesora Kaliszana była dla nas niespodziewanym i wielkim ciosem.

Czy czuje się pan w pewnym sensie spadkobiercą swojego mistrza i kontynuuje to, co profesor Kaliszana rozpoczął?

Jak najbardziej. Myślę, że są pewne cechy, które wkodo-

wują się gdzieś w DNA behavioralne, i ja je nie tyle nabyłem, co się we mnie przy nim wykształciły. A w trakcie tych wielu lat współpracy z prof. Kaliszaniem te cechy jakby jeszcze bardziej nabrały kształtu. Na pewno mam podobne podejście do współpracowników i studentów. Szanuję ich i potrafię z nimi nawiązać kontakt. Profesorowi Kaliszanowi zawdzięczam, że

jestem rektorem. On pokazał, że można być naukowcem i można również zarządzać uczelnią.

Przejął pan władzę od rektora, który cieszył się bardzo dobrą opinią i bardzo wiele zrobił dla uczelni...

W pełni się z tą opinią zgadzam. Za czasów rektora prof. Marcina Gruchały powstały dwa duże szpitale, a jeden się buduje. Natomiast wymieniany wcześniej prof. Roman Kaliszana będąc rektorem, bardzo lobbował za budową pierwszego z nich, czyli Centrum Medycyny Inwazyjnej. Jeździł po Pomorzu i zabiegał o życzliwość lokalnych społeczności. W efekcie, niezależnie od poglądów politycznych i przynależności partyjnej, wszyscy wspierali profesora i Gdańsk w pozyskaniu środków na budowę tego pierwszego szpitala. Kamień węgielny wmurowany był właśnie za czasów profesora Kaliszana, a uroczystość zaszczycił wówczas swoją obecnością sam premier Donald Tusk.

Panie profesorze, stawia pan na rozwój, transparentność, partycypację oraz dobrostan. Co się kryje za tymi pojęciami?

Po pierwsze chciałbym, żebyśmy wzmocnili w uczelni pewne mechanizmy, które już istnieją. Możliwość współuczestniczenia, czyli tak zwanej partycypacji pracowników w podejmowaniu decyzji, lepszego docenienia ich wysiłków, które są nie tylko ponadstandardowe, ale także podejmowane na rzecz rozwoju uczelni.

W jaki sposób?

Najprościej byłoby powiedzieć, że poprzez jakieś systemy wynagradzania finanso-

wego, ale tu mam trochę związane ręce i nie do końca takie duże możliwości, jak byśmy mogli chcieć. Natomiast mamy też inne, nazwijmy to, pozapłacowe systemy motywacyjne, które trzeba zaimplementować i metodą prób i błędów znaleźć taki system, który będzie najbardziej stymulujący i doceniający pracowników. Być może będzie musiał być inny dla grupy pracowników administracyjnych, a inny dla nauczycieli akademickich. Musimy podjąć takie wysiłki, aby dać pracownikom poczucie satysfakcji i nie tylko tego, że mają udział w tworzeniu uczelni, w jej rozwoju, ale także to, że wszystko, co robią, jest przez nas doceniane. Choćby w formie wyjazdów na konferencje, szkolenia, stypendia, kursy specjalistyczne czy językowe dla grupy pracowników administracyjnych czy dla każdego, kto taką potrzebę będzie miał. Są więc pewne możliwości, które świat już zna, natomiast świat akademicki mniej, bo jest konserwatywny i generalnie dopóki nie ma jakiegoś, że tak powiem, noża na gardle, to specjalnie się tak bardzo nie wyrwa do zmiany.

Spędził pan dwa lata w Japonii. Właśnie o takim stażu marzy wielu młodych pracowników nauki, prawda?

Kiedyś to było faktycznie jak złapanie Pana Boga za nogi. Natomiast teraz możliwości są dużo większe niż kiedyś, a powiedzmy zainteresowanie takimi wyjazdami nie jest już tak duże. Myślę, że po części dlatego, że dostępność do wyjazdów zagranicznych jest tak duża, że jeżeli ktoś chce zobaczyć jakieś miejsce na świecie, to sobie tam po prostu jedzie. A z drugiej strony atrakcyjność Polski jako miejsca pracy też wzrosła. I tu mam na myśli przede wszystkim środowisko lekarzy, medyków, którego możliwości finansowe są dużo większe.

Lekarze przestali wyjeżdżać za granicę w poszukiwaniu dodatkowego zarobku, ale jednak ciągle ich brakuje...

Brakuje przede wszystkim w małych miejscowościach na prowincji, a w dużych miastach może nie do końca dobrze jest zorganizowany system dostępu do lekarzy, ale jakby tak spojrzeć globalnie, to są różne, czasami sprzeczne dane. Natomiast co do jednego faktycznie można się bezdyskusyjnie zgodzić, że dostępność do lekarzy czy brak tych lekarzy na prowincji, w małych miasteczkach – poza dużymi miastami – jest faktycznie bardziej odczuwalny.

A na co wydałby pan rektor sto milionów złotych, gdyby pan je dostał?

Najpierw bym zwiększył czy poprawił wynagrodzenia pracowników, szczególnie tych, którzy są zatrudnieni tylko i wyłącznie na etacie akademickim. Praktycznie prawie połowa pracowników jest na takich etatach, a ostatnie podwyżki wynagrodzeń co najwyżej zasypały inflacyjną dziurę. Poza tym na pewno za-inwestowałbym w infrastrukturę badawczą i dydaktyczną. Jeżeli chodzi o infrastrukturę kliniczną, to brakuje nam centrum medycyny ambulatoryjnej, gdzie można by przyjmować pacjentów w systemie opieki jednodniowej i w ten sposób odciążać oddziały, na których można by przeznaczyć więcej miejsca dla pacjentów wymagających opieki długoterminowej. Czyli: wynagrodzenia, a więc ludzie, potem infrastruktura laboratoryjna i dopiero potem infrastruktura kliniczna. To, co jeszcze potrzebujemy, musimy skroić na miarę naszych możliwości. Nie chciałbym, żebyśmy tworzyli coś, co będzie w połowie niewykorzystane zakładając, że za 10 lat to się przyda. A jeżeli nasza uczelnia będzie się rozwijała dynamicznie i będą nowe potrzeby, to pieniądze się na pewno znajdą. Za 10 lat także.

Ministerstwo Zdrowia chce zamrozić ustawę, dzięki której lekarze zaczęli tak dobrze zarabiać, ponieważ brakuje pieniędzy na leczenie. Co pan o tym sądzi?

Trudno mi się autorytatywnie wypowiadać w tej kwestii. Wydaje mi się, że nie jest dobre ograniczanie zarobków lekarzy. To bardzo ciężka i odpowiedzialna praca i ci, którzy się na nią decydują, powinni być godnie wynagradzani. Natomiast czy brakuje pieniędzy w systemie na leczenie? Myślę, że nie zawsze system ich wydawania jest dobrze zorganizowany. Natomiast pan rektor Gruchała zostawił uczelnię w dobrym stanie finansowym. Zarówno uczelnia, jak szpitale bardzo dobrze sobie dają radę. Mówię tu szczególnie o Uniwersyteckim Centrum Klinicznym kierowanym przez dyrektora Jakuba Kraszewskiego, jak i Uniwersyteckim Centrum Medycyny Morskiej i Tropikalnej zarządzanym przez dyrektora Marcina Renke. Tam też sytuacja jest bezpieczna, stabilna i korzystna.

Powstały nowe uczelnie, które kształcą lekarzy – co prawda są one teraz pod lupą Ministerstwa Zdrowia, ale wydaje się, że będą działać. Zacznie się liczyć jakość nauczania, będą uczelnie lepsze typu Harvard i gorsze...

Jestem bardzo przeciwny tym nowym otwieranym kierunkom – szczególnie tym, które

mają negatywną opinię i prowadzą kształcenie, bo przecież są uniwersytety czy inne szkoły wyższe o dużej renomie i one są w stanie podjąć takie wyzwanie. Natomiast jest jakieś miejsce na nowe uniwersytety, ale nie może się to odbywać poza kontrolą i pomimo negatywnych ocen. Dlaczego? Bo najwięcej stracą przede wszystkim pacjenci, trafiając do lekarza czy w przychodni, czy w szpitalu. Nie będą przecież pytali lekarza, jaką uczelnię ukończył. Poza tym, gdy za dobrych kilka lat będziemy mieli faktycznie nadmiar lekarzy na rynku pracy w Polsce, to znowu będziemy ich kształcić na rynki zachodnie, bo szukając pracy, będą wyjeżdżali za granicę. Nie mówiąc o tym, że już teraz odczuwamy problemy na kierunkach, które nie są lekarskimi kierunkami, a na które trafiało dużo osób, którym nie udawało się dostać na kierunki lekarskie, i byli przyjmowani na takie kierunki jak farmacja, analityka czy ratownictwo medyczne. One wszystkie wyraźnie odczuły spadek liczby chętnych do studiowania. Poza tym mamy przecież ograniczone ilości miejsc na specjalizację.

Na opis badania rezonansem czy PET-em, czy w ogóle wyniki badań obrazowych pa-

cjenci czekają tygodniami, ponieważ brakuje radiologów.

Z pewnością są specjalności i są miejsca, gdzie brakuje lekarzy czy specjalistów. Dlatego nie neguję potrzeby zwiększenia kształcenia na kierunkach lekarskich. Nie neguję, że była taka potrzeba, proszę jednak zwrócić uwagę, że nasz uniwersytet już teraz przyjmuje około pięciuset studentów na pierwszy rok. To jest największa liczba w historii wszystkich kierunków lekarskich reprezentowanych przez uczelnie tak zwanego KRAUM-u, czyli Konferencji Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych, które znacząco zwiększyły liczbę rekrutowanych studentów, aby poprawić sytuację.

Jakim kosztem?

Zwiększamy liczbę studentów Polaków kosztem studentów zagranicznych na English Division, więc liczba studentów anglojęzycznych na kierunku lekarskim się zmniejsza. Natomiast jesteśmy uniwersyte-tem, więc mamy możliwość kształcenia nie tylko na jednym, a na wielu kierunkach. I od kilku lat kształcimy ich po angielsku na wydziale farmaceutycznym wspólnie z trzema innymi uniwersytetami europejskimi - w Lille we Francji, w Gandawie w Belgii

oraz w Groningen w Holandii. Są to dwuletnie studia magisterskie. Każdy semestr studenci spędzają na innej uczelni. W ramach właśnie tego kierunku przyjeżdża do nas z całego świata 20 studentów rocznie. A więc jest miejsce na kształcenie na innych kierunkach i będę dążył do tego, abyśmy promowali właśnie takie kierunki anglojęzyczne. Niekoniecznie już kierunek lekarski, ale kierunki o specyficznych profilach atrakcyjnych na rynku pracy. Natomiast w tym roku Ministerstwo Spraw Zagranicznych wprowadziło nowe zasady udzielania wiz dla osób chcących studiować w Polsce. Tak się akurat składa, że nasi kandydaci do studiowania - między innymi na kierunku farmacja czy pielęgniarstwo anglojęzyczne to w większości osoby z kierunków, które Ministerstwo Spraw Zagranicznych uważa za, nazwijmy to, wymagające szczególnej troski przy udzielaniu wiz wjazdowych do Polski czy do krajów Schengen. A więc z Afryki, Azji, Bliskiego Wschodu. Kierunek lekarski też ten problem dotyka, aczkolwiek tam trochę w mniejszym stopniu. Według nowych zasad ministerialnych, kandydat musi przyjechać najpierw do kraju, żeby przedstawić dokumenty i które potem zatwierdza ku-

ratorium oświaty. Dopiero wtedy mogą oni dostać wizę, żeby wjechać do Polski. Apelujemy do ministerstwa, próbujemy coś zmienić, ale jak na razie chyba bez specjalnego efektu.

Uczelnia Fahrenheita. Co kryje się pod tym hasłem?

Jest to nasza wspólna umowa trzech uniwersytetów, dotycząca wspólnej przyszłości. Chcemy nadal budować federację trzech uczelni: GUMed, UG i PG. Trochę mamy wyzwania na poziomie ustawodawczym, gdzie są pewne ograniczenia dla funkcjonowania czy dla sukcesu takiej federacji. Są one związane między innymi z tak zwaną ewaluacją działalności naukowej. Chcielibyśmy, żeby została ona w gestii uczelni jako cała federacja, natomiast poszczególni jej członkowie stanowią dalej niezależne podmioty posiadające swoich rektorów i swoje senaty. Możemy oczywiście pewne działania wykonywać razem jako federacja, bo ona jest najbardziej korzystna z punktu widzenia wizerunkowego. W rankingach międzynarodowych jesteśmy postrzegani jako jedno ciało i jedna instytucja, ale także mamy różne inne możliwości. Docelowo można sobie wyobrazić, że w perspektywie wielu lat dojdziemy do stanu, w którym stworzymy faktycz-

nie tylko jedną uczelnię o takiej nazwie. To jest proces, który wymaga czasu, bo jednak jest wiele obaw w społeczności akademickiej każdej z uczelni: czy taki proces skończy się dla nas wszystkich korzystnie, czy nie. I jest jeszcze drugi, bardzo istotny mechanizm. Nie ma jakby takiego, w cudzysłowie nazwijmy to, nagrody czy bonusu za połączenie. Oznacza to, że wszelkie koszty, które są z tym związane, musielibyśmy ponieść sami. Krótko mówiąc, na pewno nie wykluczamy kiedyś stworzenia jednego organizmu - nie wcześniej jednak jak za kilka lat.

Dobrał już pan sobie współpracowników, najbliższych prorektorów?

Tak, już od 1 września rozpoczęliśmy wspólnie kadencję. Mamy pewne ograniczenia kadencyjne w zakresie prorektorów, stąd praktycznie wszyscy prorektorzy to nowe osoby, które nie pełniły tej funkcji w poprzedniej kadencji. Wyjątkiem jest pani profesor Agnieszka Zimmermann, prorektorka do spraw kształcenia. Prorektorem ds. studenckich została pani profesor Aleksandra Gaworska-Krzemińska z kierunku pielęgniarstwo. Natomiast profesorem Anna Żaczek z międzyuczelnianego Wydziału Biotechnologii została prorektorką

do spraw rozwoju i współpracy. To jest właśnie nowość, bo takiej funkcji do tej pory nie było. Żaden z prorektorów nie miał w swoich kompetencjach takiej nazwy. A najbardziej zależy nam na współpracy międzynarodowej, a także na współpracy krajowej z podmiotami gospodarczymi, a tutaj te odpowiedzialności były trochę rozmywane pomiędzy różnych prorektorów. Krótko mówiąc, mamy teraz jedną panią prorektor ds. rozwoju współpracy i jest nią Anna Żaczek. Natomiast moim pierwszym zastępcą jest prorektor do spraw klinicznych dr hab. n. med. Michał Hoffmann, kardiolog z Katedry i Kliniki Nadciśnienia Tętniczego i Diabetologii. Bardzo mądry człowiek, szanowany w środowisku klinicznym, także dobrze współpracujący z dyrekcją szpitala UCK. I ostatnim prorektorem, którego nie wymieniałem, jest prof. Michał Żmijewski, prorektor ds. nauki, z wykształcenia biolog molekularny.

Na wyniki takich badań pacjenci muszą bardzo długo czekać...

Zgadzam się, że są one bardzo potrzebne. My też myślimy o tym, jak poprawić dostępność do diagnostyki molekularnej.
©®

REKLAMA

0011177205

Kolejny uczestnik zgarnął nagrodę w loterii „Telemagazynu”.

Ekspres do kawy marki Krups trafił w ręce pana Jana z Włocławka.

Dzięki udziałowi w grze kolejna osoba cieszy się z nagrody. Ty też masz szansę na wygraną, w finale czeka aż 250 000 zł! Dołącz do gry już dziś!

Pan Jan z Włocławka to wytrawny gracz. Jak sam mówi, udział w konkursach i loteriach jest dla niego niczym hobby: - Mam dosyć pokaźne teczki różnych wygranych i pieniężnych, i rzeczowych. Żyję tym od młodości. Dlatego, kiedy przeczytałem w „Telemagazynie” na temat tej loterii, że można wygrać duże pieniądze i różne nagrody rzeczowe, postanowiłem wziąć w niej udział – opowiada nam laureat. I w sumie wysłał około

15 SMS-ów, które – jak się później okazało – przyniosły mu wygraną w postaci nowoczesnego ekspresu do kawy marki Krups. Z nagrody cieszyć się będzie nie tylko nasz laureat, ale również jego żona. – A i goście, którym teraz będziemy serwować kawę jak z kawiarni. Do tego mniej roboty będzie, bo ekspres zrobi kawę praktycznie sam – przyznaje z radością pan Jan.

Dołącz do gry i daj sobie szansę na wygraną!

Ty też masz szansę zafundować sobie lub swoim bliskim wspaniałe nagrody. W puli czeka nagrodę duża gotówka! Aby zagrać, wystarczy wysłać **SMS**



o treści GRAM pod nr 7375 (koszt 3,69 zł). Każdy wysłany SMS lub kupiony los, to szansa na wygraną w losowaniu.

To od Ciebie zależy, ile SMS-ów wyślesz lub ile losów wykupisz. Sam zdecyduj, czy chcesz pomnożyć swoje szanse.

Ćwierć miliona czeka na przyszłego właściciela

Przypomnijmy, że w listopadzie odbędzie się finałowe losowanie, w którym jeden z graczy wygra aż 250 000 zł. To właśnie ta nagroda skłoniła pana Jana do udziału w loterii. I, mimo że nasz laureat już jedną nagrodę wygrał, wciąż ma szansę na tę główną. W losowaniu weźmie bowiem udział każdy SMS i każdy los kupiony podczas trwania całej loterii. Spytałismy pana Jana, na co przeznaczyłby pieniądze, gdyby to właśnie jemu udało się wygrać. - Ja już jestem wiekowy, trochę po świecie pojeździłem, swoje widziałem. Teraz mam dzieci, wnuczki, więc pewnie

skupiłbym się na nich, żeby trochę finansowo im pomóc. Ale nie chcę dzielić skóry na niedźwiedziu – przyznał nasz rozmówca i dodał, że wciąż jest aktywnym graczem i co jakiś czas wysyła SMS-y w loterii „Telemagazynu” licząc, że szczęście znów się do niego uśmiechnie. Ty też spróbuj swojego szczęścia i dołącz do gry już dziś!

Więcej informacji na temat loterii znajdziesz na stronie: **loteria.telemagazyn.pl**

Organizator loterii: **Peakmake Sp. z o.o. z siedzibą w Gdańsku.** Loteria dla osób powyżej 18. roku życia.

Zamglone powietrze, zimne poranki i krótkie dni

Schyłek lata był dla naszych przodków najtrudniejszym okresem w roku. Odchodzące lato zostawiało dary. Dzięki nim mogli przetrwać długie, ciemne i zimne miesiące. Nic więc dziwnego, że dzień, w którym lato spotykało się z jesienią, był momentem ważnym i magicznym

Kinga Furtak

Nasi przodkowie z dużą uważnością i miłością podchodzili do natury. Współgrali z jej cyklami. Dlatego nadejście jesieni było czasem szczególnym, w którym dziękowano za czas urodzaju. Koniec września to był ważny czas świętowania. W czasie równonocy, czyli 22-23 września nasi przodkowie żegnali z dużą godnością i miłością to, co było.

Bogowie tworzyli fascynujący panteon

Mitologia słowiańska jest mało zbadana. Wynika to przede wszystkim z braku źródeł pisanych. Naukowcy muszą polegać na różnego rodzaju artefaktach związanych z kulturą Słowian: szczątkach osad i miejsc kultu czy pojedynczych znaleziskach.

Wiemy, że czczeni przez pradawne ludy bogowie byli w praktyce ucieleśnieniem zjawisk zachodzących w przyrodzie.

Bogowie słowiańscy tworzą fascynujący panteon, który jest pełen barwnych postaci o bogatej symbolice.

Z zakończeniem lata powiązano trzy bóstwa. Szczególną czią dawni Słowianie obdarzali Mokosza, która była boginią dostatku, Świętowitą, który był bogiem urodzaju oraz Welesa, którego uważano za pana zaświatów, ale także „boga bydlęcego”, uznawanego za pana i najwyższego stróża bydła, które na słowiańszczyźnie było odzwierciedleniem i miernikiem bogactwa i dobrobytu.

Mokosz jest moją ulubioną boginią, bo jest bardzo kobieca. Marzanna też, ale bardziej kojarzona jest ze śmiercią, zimą, niebytem.

Natomiast Mokosz jest symbolem nowego życia i wszystkiego, co wyrasta z wilgotnej gleby. Sama również była płodna niczym wiosenna ziemia. Boginię przedstawiano, jako piękną kobietę z długimi warkoczami. Długie włosy były uznawane przez dawnych Słowian za oznakę piękna, młodości, vitalności, zdrowia i dostatku. Bogini Mokosz była patronką kobiet i dobrych plonów – opowiada Ewa Rogala, prezes Instytutu Botaniki Dermatologicznej.

Trzech bogów i Trójca Święta

W dawnych zwyczajach Słowian dziękowano tym trzem bogom za ich opiekę, dostatek, urodzaj. Ludzie chcieli podarować swój szacunek i część plonów siłom wyższymi. Miało to także zagwarantować dobre zbiory w kolejnym roku.

Kiedy przyszła chrystianizacja Polski, to sporo z dawnych zwyczajów zaczęło przemieniać i adaptować – mówi Ewa Rogala. – Ludzie nie godzili się, aby odbierać im całe dawne wierzenia. Sporo z nich przetrwało do dziś. Między innymi topienie Marzanny. Próbowano to zamienić na zrzucanie Judasza z wieży kościelnej. To jednak nie przetrwało.

W przypadku jesiennego czasu i dożynek właściwie niewiele się zmieniło. Ludzie dziękowali za plony, prosili o dostatek w kolejnych latach, święcili zioła, a swe modły kierowali do sił nadprzyrodzonych. Dziś na wsiach ta obrzędowość jest wciąż żywa. Atrybutem były i są wciąż bogato strojone wieniec. Choć te współczesne zmieniły nieco formę.

Na jednej z rycin widziałam przepięknie i odświętnie wystrojoną kobietę, która miała na głowie duży wieniec. Było w nim zboże, bylica, wrotycz, jabłka i orzechy – które symbolizowały dostatek i urodzaj. Świętowano prawdopodobnie pod koniec września, a wtedy roślinności było już niewiele – opowiada Ewa Rogala. – Kiedyś dziękowaliśmy trzem bogom, a dziś dziękujemy Bogu chrześcijańskiemu za bogate plony. Wspólnym mianownikiem jest dziękczynność.

Rośliny magiczne

Ziołom przypisywano wiele właściwości – także tych magicznych. Przygotowywano wianki ziołowe, w których znajdowała się m.in. macierzanka, która do dziś jest poważaną rośliną leczniczą. Jest bardzo bogata w substancje aktywne. Działa przeciwpalniczo, a przede wszystkim przeciwwirusowo. Była też popularna na naszych polach bylica, wrotycz, len i konopie. Poświęcone wianki były przechowywane i uważano, że mają jeszcze większe właściwości lecznicze.



Obrzęd plonów przeprowadzony w Grodzisku Owidz pod Starogardem Gdańskim w czasie Festiwalu Mitologii Słowiańskiej



W konopiach siewnych Ewa Rogala. Gdy zakłada na plecy swój wielki wiklinowy kosz i wybiera się po zioła jest – jak mówi – szczęśliwa

Zioła wybierano intuicyjnie, za pomocą prób i błędów. W szczególności były ważne len i konopie.

Ludzie pili napary z konopi siewnej. Jeśli chodzi o kannabinoide z punktu widzenia naukowego, to one się w naparze nie rozpuszczają.

Może się wydostać trochę olejków eterycznych, a tam znajduje się mircen.

My dziś wiemy, że mircen to terepn odpowiedzialny za ukojenie i uspokojenie

układu nerwowego. A oni to po prostu czuli.

Chmiel, który dojrzewał późną jesienią, zaczęto dodawać do piwa, aby nie kisło. – Naturalne piwo jest żywe i bardzo szybko może się popsuć. A chmiel, bylica, jałowiec były dodawane, żeby piwo zachowało świeżość. Chmiel dodatkowo sprawiał, że człowiek po wypiciu piwa rzadko miał agresję, bo lupulina (żółty proszek w szyszce chmielu) i chmiel wycisza.

Słowiańscy przodkowie dużo... kadzili. Dziś do mody wracają smutki, czyli intencjonalne kadzila – naturalne z lokalnych roślin zbieranych na pobliskich łąkach. Podczas ich palenia wydobywa się cienka smuga dymu i stąd wzięły swoją nazwę. Potrafią wpłynąć na nastrój, emocje, ale mają też właściwości antywirusowe. Dawnej okadzano nimi domowników – aby oczyścić ich od złego, obejścia – żeby żadne lichy się nie przypłatało,

czy zwierzęta – aby uchronić je przed chorobami.

Jałowiec jest ciekawym ziołem do okadzania. Jak ktoś umarł, czy była zaraza, to się okadzało cały dom jałowcem. To roślina bardzo aromatyczna. Dym z jałowca działa przeciwwirusowo. Zauważono, że kadząc, choroba omija. W kościołach są często żywice takie, jak mirra, ale także jałowiec. Intuicja naszych przodków była wspaniała.

Spotkania na magicznych rytuałach

Kobiety na wsiach dawniej miały swoje ważne rośliny i rytuały. Spotykały się w izbie wspólnie dla dobra całej społeczności rwały len, młóciły, a potem tkwały na krośnie materiału. Było to związane z rytuałem dobrze znanym na Podlasiu. Chodziło o to, aby zapobiec chorobie cholery. – Materiał był kładziony przy wejściu do cerkwi i każdy, kto przychodził na nabożeństwo, musiał na niego nadeptnąć. Pozostała nie była oplatana dookoła wsi, aby zapobiec chorobie cholery. Kobiety często spotykały się na różne magiczne rytuały, ale też chciały pobyć ze sobą, porozmawiać. Wspierały się. Uważam, że tego we współczesnych czasach bardzo nam brakuje – opowiada Ewa Rogala.

Pochodząca z Warszawy Ewa Rogala często zapraszana do jest Grodziska Owidz znajdującego się pod Starogardem Gdańskim. W tym miejscu prowadzi prelekcje dotyczące ziół.

– Uwielbiam to miejsce. Pracują tu prawdziwi pasjonaci. Gród jest przepiękny, a region jest bardzo bogaty w zioła. Dawniej nie widziałam polskiej nawłoci, a tu udało się ją znaleźć.

Gdy zakłada na plecy swój wielki wiklinowy kosz i wybiera się po zioła, jest szczęśliwa. Choć kiedyś jej droga wyglądała zupełnie inaczej.

Wychowała się w Warszawie. Mama była typowym mieszczuchem. Gdy była nastolatką, lato najczęściej spędzała w lesie u wujka leśniczego. Wówczas poznawała tajemniki lasu. Potem skończyła studia magisterskie na kierunku – ekonomia. Uczyła się na uniwersytecie w Bostonie. Przez lata pracowała w kontroli finansowej.

– Cały czas czytałam dużo o ziołach, to była moja wielka pasja – wspomina. – W końcu przyszedł taki moment, że fascynacja naturą była największa. Poszłam do szkoły zielarskiej i zupełnie zmieniłam swoje życie i zawód. Współpracuję z wieloma uczelniami wyższymi, między innymi z Uniwersytetem Warszawskim oraz SGGW. Teraz szykuję się do podjęcia doktoratu. Jeśli coś jest pasją, to nigdy nie jest za późno na zmiany – podsumowuje.©©

GRZEGORZ DUDA AMBASADOR AKADEMII MŁODEGO MECHANIKA I OGÓLNOPOLSKICH MISTRZOSTW MECHANIKÓW

MISTRZOSTWA MECHANIKÓW. TAK W POLSCE RODZĄ SIĘ MOTORYZACYJNE PERŁY I DIAMENTY

- W każdym z tych młodych ludzi dostrzegam nie tylko pasję i talent, ale też niezwykłą iskrę, którą staramy się rozniecić - mówi GRZEGORZ DUDA, wielokrotny mistrz w rajdach i wyścigach samochodowych, a także współtwórca oraz ambasador Akademii Młodego Mechanika i Ogólnopolskich Mistrzostw Mechaników.

- W Polsce mamy zdolnych mechaników?

- Mamy, i to całkiem sporo. Ale, co ważniejsze, mamy również świetnych kandydatów na mechaników. Problem tylko w tym, by ich odnaleźć i odkryć ich pasję.

- Temu celowi mają służyć Akademia Młodego Mechanika oraz Ogólnopolskie Mistrzostwa Mechaników.

- I służą. Dzięki nim, spośród tysięcy uczniów, wyłuskujemy najbardziej ambitnych, żądnych wiedzy oraz utalentowanych. Takich, którzy w niedalekiej przyszłości będą dbali o coraz wymyślniejsze konstrukcje samochodów, ale także będą siłą polskiej motoryzacji.

- Mistrzostwa, tak jak i Akademia, cieszą się olbrzymią wręcz popularnością wśród młodych. Jak się narodziły?

- To pomysł Adriana Dekowskiego, mojego przyjaciela, dzisiaj także partnera biznesowego w rozwoju tego wspianego przedsięwzięcia. Ja do tego niezwykłego zespołu dołączyłem po trzech latach. Gdy po raz pierwszy ujrzałem tych młodych, poznałem ich plany, pasję, zobaczyłem szczęście na twarzach, ale też energię i żądę wiedzy, uświadomiłem sobie, że nie tylko chcę, ale muszę być tego częścią.

- Co sprawia, że tak młodzi ludzie wspinają się na wyżyny wiedzy i umiejętności?

- Ambicja, ale też nadzieja, że mogą być najlepszymi z najlepszych. Tu nie ma bowiem znaczenia, czy pochodzą z małych miejscowości czy wielkich metropolii, mają założeń rodziców czy nieco mniej zasobnych w gotówkę. Podczas Mistrzostw Mechaników liczy się tylko wiedza, talent i ta iskrę, która ze zwykłego mechanika czyni mistrza, a niekiedy geniusza w swoim fachu.

- Mistrzostwa to również sposób, by trafić do najbardziej znanych polskich firm?

- To prawda. Młodym adeptom sztuk technicznych chcemy w ten sposób szeroko otworzyć drzwi do najlepszych polskich i zagranicznych firm, w świat najnowocześniejszej, wyszukanej techniki oraz innowacyjnych rozwiązań. Zawody te organizujemy również po to, aby młodzi nie tylko uwierzyli w siebie, ale także odkrywali talenty, które w nich drzemia.

- Akademia i Mistrzostwa to...

- Akademia Młodego Mechanika to może nie instytucja, ale pewien „twór” - jak ją nazywam - który zajmuje się szkoleniem młodzieży przez cały rok. Uczymy, dostarczamy specjalistyczne materiały, organizujemy szkolenia w firmach, kursy i zachęcamy do nauki...

Swoją los związało z nami ponad 20 tysięcy uczniów. Wspomnę tylko, że w tym roku do półfinału przystąpiło 12,5 tysiąca młodych ludzi.

- Czym zatem są Mistrzostwa Mechaników?

- Traktujemy je jako igrzyska, podczas których rywalizują najlepsi z najlepszych.

- W ten sposób, jak Państwo twierdzicie, przygotowujecie też specjalistów na potrzeby biznesu. Czy to oznacza, że szkoły z tym sobie nie radzą?

- Tak bym tego nie ujął... Szkoły są bardzo ważne, potrzebne i konieczne, dysponują też świetnymi nauczycielami, ale ich możliwości są takie, a nie inne. Akademia Młodego Mechanika uzupełnia więc to, czego nie może dać szkoła. Jesteśmy bowiem w stanie dostarczyć profesjonalną wiedzę, zaprezentować różne działy motoryzacji, a także pokazać najnowocześniejsze rozwiązania techniczne oraz IT. Dzięki temu młodzi ludzie podejmując życiowe decyzje, wiedzą, na co się piszą.

- To znaczy?

- Nie każdy młody człowiek nadaje się do przysłowiowego „kanału” lub „kręcenia śrub”. Niektórzy lepiej się czują w sztuce detalingu, inni w obsłudze klientów. Jedni odnajdą w sobie żylkę do aplikacji folii, a część wybierze odkrywanie tajemnic elektromobilności. Dla wielu spełnieniem marzeń będzie obsługa samochodów osobowych



GRZEGORZ DUDA, współtwórca oraz ambasador Akademii Młodego Mechanika i Ogólnopolskich Mistrzostw Mechaników

lub motocykli, ale są też tacy, którzy ujrzą swą przyszłość jako mechanicy pojazdów ciężkich, rolniczych, a może wojskowych. Każdemu młodemu człowiekowi dajemy więc możliwość spróbowania sił w szeroko pojętej branży motoryzacyjnej... Wyboru, w którym kierunku zamierza podążać, musi już sam dokonać.

- Nietatwe zadanie...

- Dlatego podczas Mistrzostw Mechaników jest dziewięć kategorii, a w kolejnej edycji przybędzie jeszcze jedna. Tu rywalizuje się na umiejętności, punkty, sekundy, ale także pomysły oraz niekonwencjonalne rozwiązania. Nie są to tylko zawody czy działanie pod pewną presją, ale też idealny czas do sprawdzenia umiejętności oraz wyboru drogi życiowej. To oczywiście rozwój, edukacja, praca, technologia, ale także pasja oraz radość ze zwycięstwa. W ten sposób nikogo nie odrzucamy, każdemu dajemy szansę. I to się sprawdza.

- W ten sposób ukształtowani młodzi ludzie są cennym nabytkiem dla firm?

- Powiedziałbym więcej - genialnym nabytkiem. Firmy już wiedzą, że jeśli ktoś był w Akademii Młodego Mechanika, uczestniczył w Mistrzostwach Mechaników, to jest to osoba godna zaufania, a być może także wschodząca gwiazda w danej dziedzinie. I dlatego w takiego człowieka warto inwestować... Na pewno nie będą to pieniądze wyrzucone w błoto.

- Zmienia się świat, zmieniają się też serwisy.

- To prawda. Ich symbolem nie jest już przysłowiowy pan Henio - w brudnym ferszalunku, z młotkiem i palnikiem w dłoni. Dzisiaj samochody to urządzenia cyfrowe, innowacyjne, mocno zaawansowane technologicznie. Oczywiście cały czas jest w nich miejsce dla klasycznych narzędzi - i to się szybko nie zmienia, ale coraz częściej przydaje się też wiedza specjalistów od obsługi diagnostyki oraz umiejętności programowania. W tej chwili praktycznie każdy element, układ w samochodzie musi przejść procedurę kodowania.

- Co sprawia, że dziewczyny coraz chętniej wybierają zawód mechanika?

- Pasja i miłość do motoryzacji - to na pewno. Zawód mechanika nie kojarzy się już tylko z „brutalną siłą” i wysiłkiem. Myślę, że wpływ na większą liczbę dziewczyn w Mistrzostwach Mechaników ma również rosnąca liczba zajęć wymagających perfekcyjnego skupienia i precyzji. A w tych dziedzinach są one nie tylko niedościgłe, ale również bardzo konsekwentne. My, mężczyźni, jesteśmy takimi trochę wariatami, którzy lubią zadziałać impulsywnie, z pewnym ryzykiem, niekiedy pójść po bandzie. Kobiety są bardziej skrupulatne - jeżeli już coś robią, to czynią to precyzyjnie i perfekcyjnie. Wspomnę tylko, że podczas Mistrzostw Mechaników są takie kategorie, w których nie tylko

stoją na podium, ale wygrywają. Wiele z nich znalazło już zatrudnienie w renomowanych firmach motoryzacyjnych.

- Mechanik to zawód... zaufania społecznego. Jak wybrać tego najlepszego? Jechać do Autoryzowanej Stacji Obsługi czy do prywatnego warsztatu? Kierować się opinią w internecie czy może podpowiedzią bliskich?

- Korzystanie z forów internetowych może być ryzykowne i nie zawsze musi pokrywać się z prawdą.

- Dlaczego?

- W ostatnich latach świat bardzo mocno się skrzywił. Jeżeli ktoś chce wiedzieć, jak wygląda opinia, dodam od razu - nie wszystkie, na forach internetowych, wystarczy dać ogłoszenie: „Kupię 100 pozytywnych opinii” lub „Kupię 100 opinii negatywnych”. Zrobienie pozytywnej kampanii wizerunkowej kosztuje, powiedzmy, 3000 zł, przedstawienie firmy w złym świetle może być droższe, np. trzeba wydać 5000 zł. To wiele mówi... Oczywiście nie oznacza to, że wszystkie opinie są kupione, ale te naprawdę rzetelne trudno wyłowić spośród tych mniej wiarygodnych. Dlatego też godny zaufania serwis jest polecany - jak 20 lat temu - za pośrednictwem poczty pantoflowej.

- Czy samochody są już tak skonstruowane, że same troszczą się o siebie?

- Współczesne, naszpikowane elektroniką samochody nie potrafią o siebie same zadbać, ale pomogą dbać o siebie! Przypomnę nam nie tylko o wymaganym serwisie, ale także o tym, że np. za 1000 kilometrów trzeba będzie wymienić klocki hamulcowe. Elektronika i innowacyjne rozwiązania, zakładając, że chcemy jeździć samochodem długo i bezpiecznie, nie zwalniają nas z obowiązku dbania o niego. Podam taki przykład: jeżeli rocznie przejeżdżamy np. 2000 km, ale codziennie uruchamiamy silnik 15 razy - wyjeżdżamy z domu do przedszkola, szkoły, pracy, na zakupy, do bliskich znajomych - to fundujemy silnikowi naszego dwuśladu bardziej ekstremalne warunki pracy, większe wyzwanie, niż gdybyśmy samochodem tym przejechali kilkanaście tysięcy kilometrów. Musimy też pamiętać o tym, że przy tak minimalnym prze-

biegu np. klocki hamulcowe również będą zużyte w minimalny sposób, a to oznacza, że nie zaświeci nam się odpowiednia kontrolka. Mimo to trzeba jechać na przegląd, by np. zobaczyć, czy tłoczki nie stoją. O samochód trzeba więc dbać, bo wtedy i on również zadba o nas i naszą kieszeń.

- Mamy okres jesienny, powoli zbliża się zima. Jakie rady współzałożyciel Akademii Młodego Mechanika ma dla kierowców? Co zrobić, by odpowiednio przygotować samochód do tego trudnego okresu? Czy możemy to zrobić sami?

- Pewne rzeczy możemy zrobić sami, ale warto, by samochód obejrzał również fachowiec. Sezon jesienny to czas, w którym trzeba pomyśleć nie tylko o wymianie opon na zimowe, ale także o sprawdzeniu poziomu i jakości płynu hamulcowego oraz płynu chłodniczego.

- A olej? Czy warto go wymienić, gdy możemy na nim przejechać jeszcze np. 500 km?

- Zmienimy go teraz. Pamiętajmy o tym, że w silniku - szczególnie, gdy jeździmy na krótkich dystansach, motor się często nagrzewa i chłodzi - pojawia się para wodna. Oczywiście odmy powinny ją odparować, ale nie zawsze tak się dzieje. Dlatego też lepiej wymienić olej przed zimą.

- Jakie jeszcze rady otrzymaliśmy od Mistrzów Mechaniki?

- Na pewno wspomnieliby o sprawdzeniu stanu akumulatora, ciśnienia w oponach przed każdym wyjazdem. Zapelowaliby zapewne o odpowiedni poziom paliwa w zbiorniku, gdyż stanie w korku w wychłodzonym samochodzie przy -20 stopniach Celsjusza nie będzie zbyt przyjemne, a może być groźne dla zdrowia i życia. Poprosiliby też o sprawdzenie stanu żarówek, nie czekając, aż się spalą, bo od tego zależy oświetlenie drogi i pobocza, a tym samym nasze i innych bezpieczeństwo. Myślę, że nie zapomnieliby również o wymianie piór wycieraczek - kosztują około 50 zł, a mogą uratować życie. I właśnie takich mechaników staramy się wychować w Akademii Młodego Mechanika oraz podczas Mistrzostw Mechaników. Profesjonalnych, specjalistów z pasją, ale także miłością do tego, co robią. **Marek Długopolski**



1 PAŹDZIERNIKA JEROZOLIMA

Żelazna Kopuła chroni historyczne centrum Jerozolimy (na zdjęciu widać meczet Al-Aksa na Wzgórzu Świątynnym) przed atakami dronów wysłanych przez Iran. Tak Teheran zareagował na atak Izraela na Liban. Znowu powróciły obawy przed tym, że konflikt na Bliskim Wschodzie przerodzi się w pełnoskalową wojnę. Od razu zdrożała ropa - cena baryłki znowu przebiła poziom 75 dol.

FOT. AA/ABACA/ABACA/EAST NEWS



FOT. PAP/MARCIN OBARA

30 WRZEŚNIA, WARSZAWA. Próba sił między prezydentem i premierem. Andrzej Duda mocno wsparł Dariusza Barczyńskiego, którego uważa za prokuratora krajowego. Według Donalda Tuska tę funkcję pełni Dariusz Korneluk. Napięcie między dużym i małym pałacem nie opadnie przed wyborami prezydenckimi



FOT. ZRZUT Z EKRANU/KANAŁ SEJMU NA YOUTUBE

1 PAŹDZIERNIKA, WARSZAWA. Politykę tworzą drobne zachowania. Takie, jak nieudana próba odwołania posłanki Lewicy Pauliny Matysiak z sejmowej komisji. Wsparła ją prawica. Lider Lewicy nie dowierza



FOT. PAP/EPA/OLIVIER HOSLET

1 PAŹDZIERNIKA, BRUKSELA. Mark Rutte był przez 14 lat premierem Holandii. Teraz został nowym sekretarzem generalnym NATO. Jako szef rządu wysłał Ukrainie samoloty F-16. Dobry prognostyk

Dobro, które posyłamy w świat, wraca do nas

Promuje szczepienia, organizuje bezpłatne badania przesiewowe, robi przeglądy lekowe pro bono, pomaga pacjentom po godzinach. Zapraszamy na rozmowę z Martyną Szaniawską – farmaceutką nagrodzoną we współorganizowanym przez markę Apteo konkursie „Recepta na dobro”.

RECEPTA NA *dobro*

Pomaga pani dwadzieścia cztery godziny na dobę?

Rzeczywiście, czasami jeżdżę do pacjentów w dziwnych porach, np. po północy. Najwięcej wiadomości dostaję popołudniami, w weekendy albo święta, czyli wtedy, kiedy dostęp do lekarzy i służby zdrowia jest utrudniony, a wsparcie z zakresu opieki farmaceutycznej potrzebne jest tu i teraz. Staram się uzupełnić tę lukę. Nie potrafię po prostu wyjść z pracy o szesnastej, odciąć się i wyłączyć serce. Muszę pomagać.

Od czego to pomaganie się zaczęło?

Od szczepień podczas pandemii. Dzięki nowym uprawnieniom mogliśmy odciążyć przychodnie i szpitale w tym trudnym momencie. A przy okazji pokazaliśmy, że jesteśmy nie tylko sprzedawcami leków, ale przede wszystkim integralną częścią całego sys-

temu ochrony zdrowia. Wciąż niewiele osób wie, że w aptece można np. wykonać szczepienia obowiązkowe i zalecane. Staram się więc o tym głośno mówić, po godzinach organizuję webinary, odpowiadam na pytania innych farmaceutów, spotykam się z politykami i lekarzami.

Co jeszcze robi pani po godzinach?

Odpieram pacjentów w domach, pomagam zmieniać opatrunki, instruuję, jak podać leki iniekcyjne w ampułko-strzykawkach. Moimi podopiecznymi są najczęściej osoby starsze, np. po amputacji albo z trudno gojącymi się ranami, odleżynami i oparzeniami. Wychodzą ze szpitala, dostają wypis, ale ze względu na ograniczoną mobilność trudno im zmieniać opatrunki. Pomagam więc najlepiej, jak potrafię. Organizuję też przeglądy lekowe pro bono i prowadzę badania przesiewowe.

Jak znajduje pani na to wszystko czas i siły?

Za każdym razem, kiedy pacjentom się polepsza, czuję, że moje działania mają sens. Bardzo mocno wierzę, że dobro, które posyłamy w świat, wraca do nas. Wiele pacjentów w podziękowaniu za pomoc przynosi mi drobne upominki albo smakołyki. Jeden pan zaprosił mnie nawet na swoją działkę nad Bugiem. Wszystko to są niezwykle miłe gesty, dzięki którym wiem, że moje działania mają sens. Takim ważnym potwierdzeniem była również wygrana w konkursie.

Uważa pani, że warto organizować kolejne edycje „Recepty na dobro”?

Oczywiście! Nagroda pokażała, jak wielu cichych bohaterów jest wśród nas. W każdym zakamarku Polski są ludzie, którzy bezinteresownie, z czystej potrzeby serca pomagają innym, zmieniają świat na lepsze. Doskonałym przykładem jest

tutaj pani Joanna Radłowska-Goła, która wspiera kombatanów w małym miasteczku. To pokazuje, że nie ma znaczenia, gdzie mieszkamy - wszyscy możemy znaleźć swoją niszę i w niej działać. Mam nadzieję, że dzięki kolejnym edycjom konkursu poznam wiele ciekawych inicjatyw i zaangażowanych farmaceutów.

Jak zachęciłaby ich pani do udziału w konkursie?

Powiedziałabym: to, co robicie, ma sens. Nie bójcie się pochwalić. Bądźcie inspiracją dla innych. Wymagajcie od siebie więcej. Przez wiele lat farmaceutyci pozostawali trochę niewidocznymi i niedocenianymi. Teraz to zaczyna się zmieniać. W rankingu zaufanych zawodów jesteśmy w pierwszej piątce, dostajemy nowe uprawnienia, mamy więcej możliwości. To właśnie od nas i naszych działań zależy, co w przyszłości będzie oznaczało bycie farmaceutą. Ja na pewno nie przestanę działać.

100 Wpływowych Kobiet. Poznaj je bliżej

Ułożyliśmy listę 100 najbardziej wpływowych kobiet w naszym województwie. Znalazły się na niej liderki reprezentujące różne dziedziny. Dziś prezentujemy pierwsze uczestniczki.

Na liście 100 najbardziej wpływowych kobiet w województwie, utworzonej przez naszą redakcję, znalazły się zarówno panie, które odnoszą sukcesy w biznesie, jak i kobiety, które prowadzą fundacje i stowarzyszenia, działaczki społeczne, polityczne i samorządowe, a także przedstawicielki świata kultury, nauki i sportu. - Wszystkie te kobiety łączy jedno - zaangażowanie w sprawy naszego regionu, energia i skuteczność w działa-

niu, dążenie do sukcesu nie tylko osobistego, ale także społeczności, w której działają. Każda z tych pań ma na swoim koncie osiągnięcia i zasługi, obok których nie można przejść obojętnie - mówi Katarzyna Borek, dziennikarka i koordynatorka projektu. I dodaje: - Wszystkie panie są autorytetami w swoich dziedzinach, są szanowane i podziwiane, a ich głos jest ważny. Przez to są wpływowe - kształtują życie naszego regionu.

Spośród pań, które znalazły się na ułożonej przez naszą redakcję liście, głosami Czytelników zostaną wybrane najbardziej wpływowe kobiety naszego regionu oraz główna laureatka. Głosowanie trwa. Podsumowaniem akcji będzie wy-

danie książki, która będzie prawdziwym hołdem dla wpływowych kobiet naszego regionu. - To będzie wyjątkowe wydawnictwo - zapowiada Katarzyna Borek. - Ukażą się w nim rozmowy z wpływowymi kobietami ze wszystkich województw wybranymi w głosowaniu Czytelników. Rozmowy będą doskonałą okazją do zaprezentowania i uwiecznienia ich działalności i sukcesów.

Rozmowy z wpływowymi kobietami przeprowadzą dziennikarze z naszej redakcji, a ilustrować je będą fotografie wykonane przez fotoreporterów. Na stronach książki znajdzie się oczywiście także lista wszystkich wpływowych pań ujętych na listach wpływowych

kobiet przez redakcję w każdym województwie, ponieważ akcja ma wymiar ogólnopolski.

Książka zostanie wydana w wysokiej jakości, a za jej projekt artystyczny odpowiadać będzie Tomasz Bocheński - wybitny grafik i laureat wielu prestiżowych, międzynarodowych nagród.

Głosami Czytelników zostanie przyznany także główny tytuł Wpływowej Kobiety naszego województwa roku 2024. Laureatka, która zdobędzie najwięcej głosów, poza prezentacją w książce, otrzyma także statuetkę i dwuosobowe zaproszenie na pobyt w komfortowym hotelu ze SPA. Będzie także reprezentować nasz region w ogólnopolskim finale akcji 100 Wpływowych Kobiet,

100
wpływowych
Kobiet

w którym wezmą udział laureatki z innych województw. Zaproszenia na pobyt w hotelu ze SPA będą czekać także na panie, które w rankingu wpływowych kobiet naszego regionu zajmą drugie i trzecie miejsce. W ogólnopolskim finale głosami Czytelników dzienników regionalnych z całej Polski zostanie przyznany tytuł Wpływowej Kobiety Polski 2024. Zwycięzcy otrzymają nagrodę finansową w wysokości 10.000 zł, statu-

etkę oraz dyplom potwierdzający zdobycie tytułu. Na uroczystą galę, podsumowującą plebiscyt 100 Wpływowych Kobiet, zostaną zaproszone laureatki pierwszych trzech miejsc finału wojewódzkiego.

Regularnie w naszej gazecie będą ukazywały się informacje o przebiegu akcji, aby na bieżąco informować o niej Czytelników i promować sylwetki nominowanych kobiet. Dziś poznajcie bliżej pierwsze z nich!

Więcej o akcji na www.dziennikbaaltycki.pl/100-kobiet



● **DARIA MIĘCZEWSKA**
● prawniczka,
właścicielka Kliniki
Medycznej Deamed
w Słupsku

Od zawsze starała się odważnie realizować swoje życiowe założenia. - Od najmłodszych lat miałam jasno określone cele, a w ich realizacji pomagała mi silna determinacja oraz przekonanie, że ciężką pracą można osiągnąć wiele. Miałam świadomość, że osiągnięcie sukcesu może wymagać czasu, ale wiedziałam, że jest to w pełni osiągalne. Kluczowe było dla mnie wsparcie bliskich, którzy we mnie wierzyli, oraz umiejętność radzenia sobie z niepowodzeniami - traktowałam je jako lekcje, a nie przeszkody - mówi. Przełomowy moment? Być może każdy trudny, który pokazy-

wał Jej, że warto walczyć o swoje marzenia, był takim punktem zwrotnym: - Ale prawdę mówiąc, zawsze miałam w sobie tę wewnętrzną siłę, by sięgać po więcej i dążyć do realizacji marzeń.

W obecnym świecie siłą napędową pozytywnych zmian i w wymiarze osobistym, i społecznym - jest Jej zdaniem świadomość, w wielu różnych wymiarach. Świadomość własnych potrzeb, emocji, ale też globalnych wyzwań i odpowiedzialności wobec innych. W wymiarze osobistym kluczowa jest samoświadomość - zrozumienie siebie, swoich wartości i granic. To właśnie ona daje narzędzia do lepszego zarządzania własnym życiem, dokonywania trafnych wyborów oraz wprowadzania pozytywnych zmian, które prowadzą do satysfakcji i wewnętrznego spokoju.



● **ALEKSANDRA HARASIUK**
● prezes Hevelius
Dubai-Pomeranian
Association, członkini
Polish Fashion Council,
Gdańsk

- Inspiruje mnie wiele kobiet - mówi. To Maria Skłodowska-Curie i jej pasja do badań, Helena Rubinstein i jej przedsiębiorczość, Iris Apfel, znana z kolorowych stylizacji, docenia za jej wiedzę i pasję do zgłębiania wiedzy o tekstyliach. Szejkę Może podziwiała za konsekwencję i promowanie swojego kraju za pomocą mody. Ania Pralinka Męczyńska jest dla Niej inspiracją w świecie stylizacji. - Mogłabym napisać książkę o wielu inspirujących kobietach - mówi Aleksandra Harasiuk. Do Jej własnej zmiany przy-

czyniła się książka Sheryl Sandberg „Lean in” i organizacja o tej samej nazwie. W sposób bardzo prosty Sheryl, wówczas COO Facebooka, opisała sytuację, w jakich znajdują się kobiety w miejscu pracy na całym świecie. Jej hasła „zajmij miejsce przy stole”, „zrobione jest lepsze od idealnego”, „co byś zrobiła, gdybyś się nie bała” czy tytułowe „włącz się” - z pozoru bardzo łatwe, ale nikt wcześniej nie zachęcał kobiet do takich postaw: - Gdy argumentowałam, że kariera to nie drabina, ale liany w dżungli i możemy odnosić sukcesy również na stanowisku poniżej ostatnio zajmowanych, wiele kobiet doceniło, że nie musi za wszelką cenę ścigać się i stresować. Bo marzeniem dla wielu z nas nie jest pozycja, ale satysfakcja z efektów pracy.



● **DANUTA RAKOWSKA**
● dyrektor Miejskiej
Biblioteki Publicznej
w Słupsku

- Zawsze odważnie i ze spokojem realizowałam swoje cele. Jestem osobą cierpliwą, nie wszystko musi być tu i teraz. Wykorzystuję odpowiedni moment i czas - mówi. Uważa, że w obecnym świecie siłą napędową pozytywnych zmian może być praca w zespole. Ludzie, ich kreatywność i kompetencje.

A dlaczego potrzebujemy głosu i siły kobiet wpływowych - liderek zmian, idei, działań w różnego rodzaju środowiskach, dziedzinach? - Aby nabrać odwagi i kroczyć swoją, wcześniej wyznaczoną drogą. Jeżeli może pani X, to dlaczego nie ja? Liderki, liderzy to też ludzie borykający się z różnymi

przeciwnościami losu. Często muszą pokonywać góry, aby dojść do celu - wyjaśnia bohaterka naszej akcji. Jej zdanie potwierdza, że liderki, czyli kobiety pełniące role przywódcze i stanowiące wzory do naśladowania, mają ogromne znaczenie dla innych kobiet. Dzieje się tak z kilku kluczowych powodów. To przełamywanie stereotypów, wsparcie i mentoring, budowanie pewności siebie, tworzenie sieci wsparcia, zmiana społecznych norm, a także inspiracja i motywacja. Przez swoje osiągnięcia i postawy inspirują młodsze pokolenia. Widząc sukcesy innych kobiet, łatwiej uwierzyć w siebie. - Wzorem do naśladowania była moja babcia Wanda - kobieta silna, ambitna, dążąca do celu małymi, ale skutecznymi krokami - wyjawia.

NAGRODA CNÓT NIEWIEŚCICH DLA BYŁEJ PIERWSZEJ DAMY

Na zakończenie Kongresu Kobiet nagrodzono Danutę Wałęsę. – Jak żyję 75 lat, to nie wzruszyłam się tak bardzo jak dziś. Kobiety kochane, jestem pełna podziwu i ogromnie zaszczycona tą nagrodą – mówiła laureatka

Łukasz Kamasz / Jacek Wierciński



Dziennik Bałtycki

Kupisz także w sieci
sklepów LIDL



Kongres Kobiet odbywał się w hali Ergo Arena na granicy Gdańska i Sopotu w miniony weekend. Do Trójmiasta przyjechały znane polityczki, aktywistki, autorki, psycholożki, wykładowczynie akademickie, bizneswomen, artystki i dziennikarki: m.in. Małgorzata Kidawa-Błońska, Danuta Wałęsa, Ewa Woydyłło-Osiatyńska, Janina Ochojska, Hanna Machińska i wiele innych.

Każdego roku podczas Ogólnopolskiego Kongresu Kobiet wręcza się nagrodę jednej kobiecie. Raz na kilka lat wręczana jest także męska nagroda Kongresu Kobiet - nagroda różnorodności. Nagrody są przyznawane przez Matki Założycielki Stowarzyszenia Kongres Kobiet - Magdalenę Środę i Henrykę Bochniarz. Wśród laureatek znalazły się m.in.: Henryka Krzywonos-Strycharska (pierwsza laureatka w 2009 roku), Maria Janion, Olga Krzyżanowska, Olga Tokarczuk, Agnieszka Holland, Wanda Traczyk-Stawska i ostatnia laureatka - Danuta Wawrowska. Nagroda trafiła też do m.in. Donalda Tuska, Roberta Biedronia, Wiktora Osiatyńskiego.

Kobiety sprawcze, silne, niezależne...

- Nagrodę kongresu kobiet można nazwać nagrodą cnót niewieścich, wszystkie nasze laureatki to niewiasty pełne owych cnót - mówiła Danuta Wawrowska.

- Są one sprawcze, silne, niezależne, zaangażowane, twórcze, skuteczne, odważne, prawe, mądre i co ważne mają dobrą pamięć, wiedzą bowiem, że swoją pozycję zawdzięczają setkom innych kobiet i tych z przeszłości, i tych z teraźniejszości, które walczyły i walczą nadal o nasze prawa.

Nagradzane przez kongres kobiety działają w różnych dziedzinach życia publicznego, w polityce, w sztuce, nauce, działalności społecznej.

Danuta Wawrowska, przedstawiając sylwetkę nagrodzonej, powiedziała, że tegoroczna laureatka wyróżnia się spośród innych polem działań, które jest wielozadaniowe i wymaga złożonych profesjonalnych umiejętności.

- Nasza laureatka przez całe swoje życie wykonywała kilkadziesiąt zawodów, których nie ograniczały przewidziane ustawą godziny pracy - dodała Danuta Wawrowska. - Była piekarniczką, kucharką, magazynierką, psycholożką, praczką, korepetytorką, sprzątaczką, dyrektorką, nauczycielką, dekoratorką wewnątrz, handlowcem i menadżerką.

Pełniła też wiele innych zawodów i funkcji o tyle trudnych, że wypełniały jej czas zwany życiem, wiązały się z silnym emocjonalnym zaangażowaniem, bo tego właśnie wymaga świat,



- Marzę, aby więcej młodych kobiet angażowało się w życie publiczne - mówiła Danuta Wałęsa. Kongres Kobiet co roku się rozrasta - w tym roku odbyło się 60 spotkań i debat, a także 30 warsztatów

który jest najbliższy nam wszystkim - świat domu i rodziny.

Danuta Wawrowska podkreśliła, że na ramionach takich kobiet unosi się cały świat - przeszłość i teraźniejszość, a nagroda trafia do laureatki, jako reprezentantki wszystkich kobiet, które utrzymują świat w trwaniu i w stabilności, które przetrzymują historyczne burze i prywatne piekła.

- Choć oczy w Polsce przez lata były zwrócone na jej męża, to ona wychowywała ośmioro dzieci - dodała Danuta Wawrowska. - I zapewniała fundamenty temu, co nazywa się życiem politycznym na szczytach władzy. Zawsze też stała po stronie kobiet i ich praw. Dziś wszystkie oczy są zwrócone wyłącznie na nią: niezależną, silną i mądrą.

Danuta Wałęsa, odbierając odznaczenie, nie kryła wzruszenia. - Marzę, aby więcej młodych kobiet angażowało się w życie publiczne - mówiła. - Kobiety kochane, matki założycielki kongresu, jestem pełna podziwu i ogromnie zaszczycona tą nagrodą. W życiu się nie spodziewałam, że dożyję takich czasów, takiego hołdowania - zakończyła.

Kongres Kobiet po raz pierwszy odbył się w 2009 roku w Warszawie, gdzie zgromadził ponad cztery tysiące uczestniczek z całej Polski. Przez lata impreza rozrosła się i jej dwudniowa, szesnasta edycja - w Ergo Arenie, oznaczała już około 60 debat i spotkań, a także 30 warsztatów, w których udział samych panelistek wzięło niemal 300.

Obok dwóch okrągłych stołów: poświęconego m.in. sprawom pokoleniowym i zielonemu ładowi oraz nazywanego „Rzeczpospolitą babką” (skoncentrowanego na koalicjach i porozumieniach na rzecz kobiet),

kongres podzielono na centra tematyczne. Wśród nich znalazły się zaś zagadnienia samorządowe, praworządności, sportu kobiecego, pilnych spraw do załatwienia, zdrowia cielesnego i psychicznego, herstorycznego (związanego z historią), ekonomiczne, międzynarodowe, kultury, zielone, przywództwa, edukacyjne i „mężczyzny portret (nie)własny”.

Polityczki o „propagandzie sukcesu”

Panel zatytułowany „Polityka według kobiet dziś” był jedną z debat zamykających kongres. Wzięły w nim udział trzy ministery: Barbara Nowacka, Katarzyna Kotuła i Hanna Wróblewska.

- Powiedziałabym nieśmiało, że mam nadzieję, że już nie będę w opozycji, ale chyba ludzkim błędem byłoby snuć sobie plany i widzieć się w ministerstwie. W ogóle się nie zastanawiałam nad swoją przyszłością, raczej zastanawiałam się, jak szybko uda się posprzątać i pozmienić po tym, co było - mówiła, dopytywana przez prowadzącą dyskusję dr Katarzynę Kasie o to, czy podczas ubiegłorocznego kongresu spodziewała się, że za rok sprawowała będzie rządowe stanowisko Barbara Nowacka, ministra edukacji, a zarazem członkini Rady Programowej Kongresu Kobiet.

Podobną deklarację złożyła Hanna Wróblewska, szefowa resortu kultury i dziedzictwa narodowego, a Katarzyna Kotuła, ministra ds. równości, odnosząc się m.in. do odsunięcia od władzy Prawa i Sprawiedliwości, przyznała: - Rok temu marzyliśmy o tym. Dzisiaj widzimy, ilu rzeczy jeszcze nie udało się zrobić, więc to się bardzo zmienia, ale myślę,

że to, co dla mnie jest najważniejszą wartością, to jest współpraca z kobietami w rządzie; czy ministrami czy wiceministrami. Muszę to powiedzieć otwarcie: wiemy, kto przeszkadza i kto pomaga i to jest jasny rozdział dla wielu ludzi - zadeklarowała.

Z kolei proszone przez moderatorkę panelu, by uprawiały „propagandę sukcesu” i opowiadały o sukcesach w kierowanych przez siebie resortach, polityczki długo wyliczały bilans niespełnionych rocznych dokonań. W edukacji była to - np. „odpartynijanie” kuratoriów oświaty i wymiana „kuratorów - politruków” na „rozumiejących system edukacji” nauczycieli i dyrektorów szkół; „odchudzenie” programu nauczania; rosnąca liczba zatrudnianych w placówkach psychologów czy podwyżki wynagrodzeń nauczycieli.

Barbara Nowacka zapowiedziała również, że od przyszłego roku w planach lekcji zamiast dotychczasowych zajęć z „wychowania do życia w rodzinie” pojawi się „edukacja zdrowotna”, a także ograniczona zostanie liczba lekcji religii (które już zostały wraz z etyką wyłączone z wliczania do średniej ocen) w szkołach do jednej w tygodniu.

W kongresie wzięła też udział marszałkini Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska. Odniosła się do przyszłorocznych wyborów prezydenckich. Według jej relacji w Koalicji Obywatelskiej obecnie nie trwają rozmowy na temat ich kandydata, ponieważ priorytetem pozostaje kryzys powodziowy na południu kraju. Jak jednak zdradziła, dużym poparciem społecznym cieszy się dwóch polityków - minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski oraz prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski.



Drogowi mordercy.
Co zrobić z pijanymi
kierowcami
Str. 20-21

PULS
#132

Blokady alkoholowe w samochodach powinny być standardem. W XXI wieku technologia może pomóc wyeliminować problem pijanych kierowców – mówi Marek Konkolewski, ekspert ruchu drogowego

Anita Czupryn

MAREK KONKOLEWSKI: ZABÓJCĄ DROGOWYM JEST NIE TYLKO PIJAK - TO KAŻDY, KTO RAŻĄCO ŁAMIE PRZEPISY

Jakie są Pana refleksje na temat ostatnich tragicznych wydarzeń drogowych spowodowanych przez pijanych kierowców?

Zacznę od czegoś, co bezpośrednio wiąże się z tymi wydarzeniami. Otóż w 1991 roku w wypadkach drogowych zginęło prawie 8 tysięcy osób. To był najczarniejszy rok w historii dynamicznego rozwoju polskiej motoryzacji. Śmierć na drogach była wtedy codziennością. Przypomnę, że zarejestrowanych było wówczas około 10 milionów pojazdów silnikowych. Co gorsza, społeczeństwo nie reagowało z taką mocą i determinacją, jak dzisiaj. Nikt nie domagał się ostrzejszych kar, zmian przepisów ruchu drogowego czy Kodeksu karnego. Ludzie przyzwyczaili się do tych tragicznych zdarzeń i traktowali je jako efekt tego dynamicznego rozwoju motoryzacji. Często spotykałem się z opinią, że skoro są samochody, to muszą być wypadki. Na szczęście dziś widzimy zmianę.

Dziś wielu uważa, że za każdym razem, gdy nietrzeźwy kierowca wsiada za kierownicę, świadomie naraża innych na śmierć.

Mamy rok 2024. Samochód stał się narzędziem pracy. W Polsce zarejestrowanych jest prawie 30 milionów pojazdów silnikowych, a liczba ofiar śmiertelnych w wypadkach drogowych wynosi około 1800 rocznie. Proszę zobaczyć, jak ogromny postęp zrobiliśmy – w ciągu ostatnich 30 lat liczba ofiar spadła czterokrotnie, mimo że liczba zarejestrowanych samochodów wzrosła trzykrotnie. Każde tragiczne zdarzenie drogowe wywołuje

dziś gwałtowną reakcję społeczną. Ludzie domagają się jeszcze bardziej zdecydowanych działań rządu, parlamentu, policji, prokuratury, sądów. Tego rodzaju zdarzenia prowadzą do społecznej burzy i gniewu, wręcz żądań zaostreżenia kar. To dobra zmiana – nasza świadomość na temat bezpieczeństwa drogowego zdecydowanie wzrosła.

Na ile to prewencyjne działania policji wpłynęły na tę zmianę?

To nie tylko działania policji. Żyjemy w zupełnie innej Polsce niż 30 lat temu. Mamy zupełnie inny krajobraz drogowy. Sieć dróg liczy ponad 400 tysięcy kilometrów. Na potęgę budujemy autostrady, drogi ekspresowe, obwodnice, modernizujemy drogi wojewódzkie i krajowe. Jeśli ktoś narzeka, że polskie drogi są złe, to najczęściej jest to ktoś, kto dawno nie podróżował po Polsce albo używa samochodu tylko sporadycznie – do wyjazdów do lekarza, supermarketu czy na działkę. Trasa z Warszawy do Krakowa, Wrocławia, Poznania, czy niedługo Via Baltica do Szczecina to zupełnie inne drogi niż kiedyś. Lepsza infrastruktura często wybaczają błędy kierowców i pieszych. Druga ważna kwestia to jakość samochodów. W latach 90., po gwałtownej wymianie parku samochodowego, wielu Polaków za wszelką cenę chciało zdobyć zachodnie auta – często po wypadkach, kolizjach czy powodzi. Dzisiaj jesteśmy bardziej wybredni – coraz więcej ludzi kupuje nowe samochody, a jeśli używane, to posalonerowe, w dobrym stanie. Już nie kupujemy wraków, klepanych chałupniczo. Lepsze drogi, lepsze samochody, bardziej efektywny sys-

tem ratownictwa medycznego i drogowego – to wszystko ma ogromne znaczenie. Służby reagują szybko: straż pożarna, pogotowie ratunkowe, Lotnicze Pogotowie Ratunkowe, policja – są na miejscu błyskawicznie. Oddziały ratujące życie są dobrze wyposażone, a system ratownictwa działa sprawnie, zarówno kadrowo, jak i sprzętowo. No i mamy lepsze prawo. To również jest ważne.

To wszystko prawda, ale pijani kierowcy wciąż wsiadają za kierownicę.

To jest problem społeczny. Widać, że kary nie zawsze odstraszają pijanych kierowców. Policja co roku zatrzymuje około 100 tysięcy takich osób i ta liczba powinna skłaniać do refleksji. Jestem świadomy, że istnieje również pokazna, tzw. ciemna liczba kierowców, którzy prowadzili pod wpływem alkoholu, ale udało im się uniknąć zatrzymania. Z jednej strony te 100 tysięcy pijanych kierowców można traktować jako sukces policji – to wynik świadczący o determinacji, skuteczności i efektywności działań w walce z plagą nietrzeźwości na polskich drogach. Z drugiej jednak strony, ta liczba przeraża. Zawsze mówiłem, że nawet najlepiej zorganizowane działania policyjne nie wyeliminują wszystkich pijanych kierowców

z dróg. Codziennie po polskich drogach poruszają się miliony pojazdów, a policjantów z drogówki jest około 10 tysięcy. Trudno, żeby w takim zestawieniu dało się wyłapać każdego.

Ministerstwo Infrastruktury proponuje wprowadzenie kategorii „zabójstwa drogowego”. Co Pan o tym sądzi?

Pomysł jest dobry. Może odstraszy tych, którzy balansują na granicy prawa. Uważam jednak, że to będzie decyzją polityczną i jestem przekonany, że ona już zapadła, po tych tragicznych, medialnych wypadkach drogowych. W pewnym sensie może ona przyczynić się do tego, że niektórzy kierowcy poczną strach i na początku być może zaobserwujemy poprawę w statystykach wypadkowości. Jednak trzeba sobie jasno powiedzieć, że zmiana przepisów to nie jest antidotum. Nie jest to jedyny sposób na poprawę bezpieczeństwa. Zmieniając prawo, możemy szybko, tanio i powszechnie próbować wpływać na nasze nawyki czy zachowania, ale czy to jest najbardziej skuteczna metoda? Nad tym bym się zastanowił. Bo po co budujemy lepsze drogi, po co inwestujemy w system ratownictwa medycznego, jeśli nie dbamy o to, by kierowcy byli odpowiedzialni?

Według Pana każda osoba, która prowadzi pod wpływem alkoholu i spowodowała śmierć, powinna być traktowana jak zabójca?

To pytanie raczej do prawników. A co z sytuacją, gdy ktoś jest kompletnie pijany, ma dwa promile, powoduje wypadek, ale nikt nie ginie, a ofiary doznają tylko lekkich obrażeń? Czy będziemy to traktować jako usiłowanie zabójstwa? Pojęcie „zabójstwa drogowego” budzi wielkie emocje społeczne. Ostatnio przeprowadzono badania opinii publicznej, które pokazały, że 85 procent ankietowanych popiera wprowadzenie tej kategorii. Trzeba jednak pamiętać, że granica między zabójstwem drogowym, katastrofą w ruchu lądowym a zwykłym wypadkiem drogowym jest bardzo cienka. Nie można też suflardkować „zabójstwa drogowego” tylko pod kątem alkoholu czy narkotyków. Co z sytuacją, gdy ktoś spowoduje śmiertelny wypadek, mając wcześniej orzeczony zakaz prowadzenia pojazdów? Ten element wyszedł na wierzch po wielkiej tragedii na Trasie Łazienkowskiej.

Ten wypadek pokazał też, że sprawcy popełniają dodatkowe przestępstwa – ucieczka z miejsca zdarzenia, nieudzielenie pomocy, mataczenie w śledztwie.

No więc temat „zabójstwa drogowego” jest niezwykle chwytliwy, ale jednocześnie bardzo trudny. Jak powiedziałem, mam świadomość, że kropka nad „i” została już postawiona i to przestępstwo znajdzie się w Kodeksie karnym. Jednak proszę mi wierzyć – będzie ono budziło w trakcie postępowań sądowych skrajne emocje. Jako

praktyk wiem, że linia pomiędzy zabójstwem, katastrofą a zwykłym wypadkiem jest bardzo cienka. To będzie naprawdę duże pole do popisu dla adwokatów, którzy będą próbowali wybronić sprawcę z zarzutu „zabójstwa drogowego” i zredukować to do katastrofy lub wypadku drogowego. Potrzeba więc czasu, aby te przepisy zostały właściwie ukształtowane i stosowane.

W przypadkach, gdy sprawcy popełniają dodatkowe przestępstwa, prawo w Polsce powinno przewidywać bardziej surowe kary?

Oczywiście, że tak. Tylko widzi pani, obecnie zajmujemy się głównie „zabójstwem drogowym”, które wzbudza ogromne emocje w polityce. Politycy, niczym orkiestra, grają pod batutą premiera, który dyryguje tym utworem pod tytułem „poprawa bezpieczeństwa ruchu drogowego”. Grają na nutach społecznego wzburzenia i niezadowolenia. Mam nadzieję, że te działania przyniosą rzeczywiste efekty, a nie będą jedynie populizmem penalnym. Ważne jest, aby nie ograniczać się tylko do alkoholu, narkotyków czy spowodowania wypadku drogowego. Największym problemem są młodzi, trzeźwi kierowcy, którzy nie mają jeszcze doświadczenia i podejmują ryzykowne zachowania na drogach.

O to właśnie chciałam zapytać – które grupy wiekowe czy społeczne najczęściej łamią przepisy drogowe?

Największy problem z punktu widzenia statystyk stanowią osoby w wieku 18-24 lata – młodzi, gniewni, nieśmiertelni. Zwracają oni większą

*KAŻDE TRAGICZNE ZDARZENIE
DROGOWE WYWOŁUJE
DZIŚ GWAŁTOWNĄ REAKCJĘ
SPOŁECZNĄ: BURZĘ I GNIEW.
TO DOBRA ZMIANA*



FOT. MALGORZATA GENCA

Konkolewski: A co z sytuacją, gdy ktoś jest kompletnie pijany, ma dwa promile, powoduje wypadek, ale nikt nie ginie, a ofiary doznają tylko lekkich obrażeń? Czy będziemy to traktować jako usiłowanie zabójstwa?

uwagę na osiągi samochodów niż na bezpieczeństwo na drodze. Często ulegają presji grupy rówieśniczej, lubią adrenalinę, a ich doświadczenie za kierowcą jest niewielkie. Jeżdżą samochodami kupionymi przez rodziców, okazjonalnie, bo sami często nie mają jeszcze własnych pieniędzy. Lubią ryzyko, potęgę szybkości, a także rywalizację. To właśnie oni najczęściej powodują wypadki drogowe. Dlatego mówię, że nie powinniśmy szufladkować pojęcia „zabójstwa drogowego” tylko do alkoholu czy narkotyków. Przykładowo: młody kierowca, mający prawo jazdy od dwóch lat, jeździ z kolegami 150 km/h na drodze z ograniczeniem do 50 km/h, w deszczu, na niebezpiecznym zakręcie, wyprzedzając na podwójnej ciążce. Dochodzi do wypadku, giną dwie osoby. Czy takiej osoby nie należałoby traktować jako „zabójcę drogowego”? Dla mnie ktoś, kto z premedytacją naciska na pedał gazu, wyprzedza na zakręcie w złych warunkach atmosferycznych i powoduje śmiertelny wypadek, jest zabójcą. Nie ma znaczenia, że nie chciał zabić, bo przecież doskonale wiedział, jakie ryzyko podejmował. Podam jeszcze jeden przykład: ktoś ucieka przed policją z prędkością 200 km/h przez miasto. Inni kierowcy zjeżdżają na pobocza, piesi uciekają z chodników. Pościg trwa 20-30 kilometrów, policja używa broni, a na koniec kierowca traci panowanie nad pojazdem, uderza w inny samochód lub pieszych, zabija jedną lub dwie osoby. Czy to nie jest „zabójca drogowy”? Naprawdę powinniśmy głęboko się zastanowić i racjonalnie opracować ramy prawne dotyczące „zabójstwa drogowego”, nie ograniczając się tylko do alkoholu i narkotyków. A co powiedzieć o kimś, kto powoduje wypadek, w którym są dwie ciężko ranne osoby, i ucieka z miejsca zdarzenia, nie udzielając pomocy? Często tacy ludzie tłumaczą się szokiem, ale potem ich działania są już przemyślane - wyrzucają telefon, szukają alibi, mataczą. Czy taki

sprawca nie jest również zabójcą? Podsumowując, powiem tak: krok w kierunku wprowadzenia „zabójstwa drogowego” jest dobry. Orkiestra gra dobrze, gra na nutach społecznego wzburzenia, bo ludzie mają dość drogowych bandytów, liberalnych wyroków i dawania recydywistom kolejnych szans. Ale ten utwór o poprawie bezpieczeństwa nie może być tylko wyrazem penalnego populizmu. Nie może być wyrazem skąpienia tylko na potencjalne skutki wyborcze. Ma dać efekt w postaci realnych zmian.

To jak Pan ocenia pomysł wprowadzenia możliwości zdobycia prawa jazdy przez 17-latków?
Jestem za. To jest pokolenie motoryzacyjne. Siedemnastolatek to osoba, dla której samochód, komputer, smartfon, internet to coś normalnego, jak otwarte granice. Kibicuję tym przepisom, a jeżeli wejdą w życie, to nie obawiam się załamania statystyk wypadków drogowych. Problem polega na tym,

że taki 17-latek przez pierwszy rok, do osiągnięcia pełnoletności - taka jest propozycja - ma jeździć pod okiem osoby towarzyszącej.

Przypomnę naszą rozmowę sprzed kilku lat, kiedy wspominał Pan o tak zwanym okresie próbnym dla młodych kierowców. Niestety, on nie wszedł w życie.
Do tej pory nie wszedł w życie i zaraz się do tego odniosę. Prawdopodobnie ci 17-latkowie będą musieli poruszać się przez rok w obecności osoby towarzyszącej, czyli prawnego opiekuna. Problem jest jeden: trzeba odpowiedzialnie opracować kryteria dla tej osoby. Nie wyobrażam sobie, żeby osobą towarzyszącą był młody kierowca w wieku od 18 do 24 lat, który posiada prawo jazdy kategorii B krócej niż jeden rok, a więc sam jest w okresie próbnym. Druga rzecz: nie wyobrażam sobie, żeby osobą towarzyszącą była osoba pijana - pijany tatuś, pijany kolega, pijany brat czy pijana mamusia. To dobrze nie wróży. Synek 17-

letni pojedzie na imprezę odwieźć tatusia, który ma dwa promile - to rodzi poważne zagrożenia. Nie wyobrażam sobie też, żeby osobą towarzyszącą był ktoś, kto ma bogatą kartotekę policyjną i sądową, miał orzekane sądowe zakazy prowadzenia pojazdów, mnóstwo punktów karnych, wypisane mandaty, powoduje wypadki i kolizje. I ostatnia rzecz: nie wyobrażam sobie, żeby osobą towarzyszącą był na przykład senior po osiemdziesiątce, który już nie ma prawa jazdy. Ponadto te samochody powinny być oznaczone zielonymi listkami i trzeba precyzyjnie zadbać o kryteria dla osób towarzyszących. Widzę jeszcze jeden problem. Na szczęście siedemnastolatek będzie odpowiadzał na własny rachunek, podlega już odpowiedzialności za wykroczenia, więc jeśli popełni rażące wykroczenie, zapłaci mandat karny, bo od 17 lat podlega postępowaniu w sprawach o wykroczenia. Istotne jest jednak, jaka będzie rola pasażera. Trzeba też zastanowić się nad odpowiedzialnością osoby towarzyszącej w przypadku, gdy ten młody kierowca będzie popełniał rażące naruszenia.

Powiedział Pan, że mamy przepisy.
Od kilkunastu lat mamy martwe przepisy ustawy o kierujących pojazdami. Proszę zajrzeć do artykułu 91 tej ustawy, gdzie jest mowa o dwuletnim okresie próbnym, zielonym listku, ograniczeniach dla młodych kierowców w zakresie prędkości - 50 km w mieście, 80 km poza obszarem zabudowanym, 100 km na autostradzie. Gdzie jest zakaz wykonywania pracy przez młodych kierowców w okresie próbnym? Gdzie są płyty poślizgowe, kursy doszkalające i tak dalej? Proszę pani, nie wyważa się otwartych drzwi. Mnie szlag trafia, gdy widzę i słyszę kolejne pomysły dotyczące poprawy bezpieczeństwa, zmiany przepisów prawa czy systemu punktów karnych. Od kilkunastu lat mamy gotowe rozwiązania. Dla mnie to są działania pod publikę, typowo do kamery, żeby pokazać, że coś się robi. Synonimem tych wszystkich zmian, które miały poprawić bezpieczeństwo i ograniczyć prawa młodych kierowców, jest „zielony listek”. Ktokolwiek widział, ktokolwiek słyszał? Odniosę się jeszcze do alkoholu.

Proszę bardzo.
Skoro człowiek i prawo nie radzą sobie z problemem pijanych na drodze, to może warto sięgnąć po zdobycze techniki, na przykład po blokady alkoholowe. Jeżeli ktoś kupuje do samochodu instalację gazową za kilka czy kilkanaście tysięcy złotych, kupuje super alufelgi, samochody są naszpikowane tyloma asystentami wspoma-

gającymi jazdę kierowców, żyjemy w czasach sztucznej inteligencji, w czasach Matrixa, to blokada alkoholowa w XXI wieku nie jest ekstrawagancją. Moim zdaniem minimum to wyposażenie każdego samochodu pijaka, każdej osoby zatrzymanej za jazdę po pijanemu, w blokadę alkoholową - obowiązkowo. Żyjemy w XXI wieku i nie mieści mi się w głowie, że nowo produkowane, sprzedawane samochody nie są wyposażone w blokady alkoholowe. Kolejna rzecz to opaski, bransolety geolokalizacyjne, nadzór elektroniczny - żeby sprawdzać, czy delikwent, który stracił prawo jazdy, nie jeździ samochodem. Trzecia rzecz: bezwzględny zakaz sprzedawania alkoholu na stacjach paliw w nocy, w weekendy, w ogóle w nocy. To jest po prostu skandal, że na stacjach paliw sprzedaje się alkohol. I ostatnia rzecz, o której już kiedyś mówiłem: połączenie zakazu prowadzenia pojazdów z krótkotrwałym zabezpieczeniem samochodu na parking. Jeśli jestem pijany i sąd zatrzymuje mi prawo jazdy na rok, dwa czy trzy, to ten samochód przez tydzień, miesiąc czy nawet trzy miesiące powinien znajdować się na parking. O tym powinien decydować sąd po indywidualnej analizie każdej sprawy. Powiązanie zakazu prowadzenia pojazdów z krótkotrwałym zabezpieczeniem samochodu na parking jest bardzo pilną potrzebą. Powtórzę: tak naprawdę mamy ostre prawo, mamy surowe kary, tylko kara musi być nieuchronna. Pewnie, że trzeba walczyć z bandytami, trzeba czasem zaostriżać kary, ale przede wszystkim kara powinna być nieuchronna. Dla całej wielkiej rzeszy ludzi, którzy doznali traumy zdarzenia drogowego, dla tych, którzy się leczą, którzy potrzebują pieniędzy na leki, na rehabilitację - proszę mi wierzyć - sprawy związane z zaostriżeniem kar nie są najważniejsze. Dla nich ważniejsze są pieniądze, szybki dostęp do lekarzy, do specjalistów, do psychologa, żeby mogli godnie żyć.

CV



FOT. MAT. PRAS.

Marek Konkolewski
Były inspektor policji, ekspert w zakresie ruchu drogowego, były dyrektor Centrum Automatycznego Nadzoru nad Ruchem Drogowym.

– Mam wrażenie, że Polacy nie do końca zdają sobie sprawę, jak gigantyczny skok wykonał ich kraj w ciągu ostatnich 30 lat. W porównaniu z latami 90. dzisiejsza Polska wygląda wręcz nierealnie – mówi w rozmowie z nami popularny youtuber Dave z Ameryki

DAVE Z AMERYKI: W CIĄGU 30 LAT POLSKA ZMIENIŁA SIĘ NIE DO POZNANIA

Kacper Rogacin

Zastanawiam się, co młody Dave wychowujący się w USA pomyślał, gdy odwiedził Polskę w latach 90. XX wieku. To musiał być dla Ciebie kompletny szok.

Zacznijmy od tego, że miałem prawie 5 lat, kiedy z rodzicami wyjechaliśmy na stałe z Polski do USA. Tamtych czasów, czyli połowy lat 80., za bardzo nie pamiętam. Ale kiedy w 1995 roku, mając 10 lat, odwiedziłem Polskę, rzeczywiście byłem naprawdę zdziwiony. Czułem się, jakbym znalazł się w jakimś ekstremalnie biednym kraju. Dzisiejszej Polski nawet nie da się porównać z tamtą. Moje wspomnienia z tamtego czasu wydają mi się dzisiaj się niemal nierealne.

Jak zapamiętałeś tamtą Polskę?

Po pierwsze, wszystko było brzydsze, starsze. W miejscowości, w której mieszkał mój dziadek – małe miasto w województwie świętokrzyskim, liczące może 20 tysięcy mieszkańców – nie było chodników, ulice składały się głównie z piachu i kamieni. To się oczywiście szybko zmieniło, ale wtedy tak było. Mówię rzecz jasna o mniejszych miejscowościach, bo ja znałem wtedy tylko taką Polskę. W dużych polskich miastach jako dziecko nie spędzałem czasu.

Pierwsza rzecz, na jaką zwróciłeś uwagę, to fakt, że wszystko było szare?

Dokładnie tak. Pamiętam, że wszystkie domy, bloki były szare i brzydkie. Wszędzie były też takie trzepaki do dywanów, na których bawiły się dzieci. Na pierwszy rzut oka było widać, że Polska była wtedy biednym krajem, że nie było za bardzo pieniędzy.

Co jeszcze zwróciło Twoją uwagę w tamtych czasach?

Dla mnie wtedy ciekawe było to, że praktycznie każdy

w Polsce miał jakiś biznes. Ludzie mieli biznesy w piwnicach, w garażach, na rogach ulic. Pamiętam też, że uderzyło mnie, że naprawdę małe dzieci paliły papierosy i piły piwo. Nie wiem, czy tak było w całej Polsce, ale wiele razy widywałem dzieci, które stały pod tymi sklepami, piły i paliły. Mnie się to nie mieściło w głowie. Co ludzie, którzy sprzedawali im to piwo, mieli w głowach?

Wracałeś później do Polski w kolejnych latach. Kiedy zauważyłeś wyraźne oznaki, że nasz kraj zaczyna się zmieniać?

Kiedy byłem dzieckiem, nastolatkiem, to częściej przylatywałem do Polski. W 1995 roku wyglądało to naprawdę biednie. Trzy lata później przyjechałem znowu i było podobnie, ale zauważyłem wtedy, że ludzie mieli więcej rzeczy. Byłem też w Polsce m.in. w 2008 roku, ale naprawdę wielką zmianę dostrzegłem, gdy przyjechałem w 2015 roku. Wtedy spędziłem więcej czasu we Wrocławiu. Wcześniej wyobrażałem sobie Polskę przez pryzmat małych miasteczek, ale gdy poznałem Wrocław, to zrozumiałem: „Okej, jest inaczej”. Jednak pamiętam też, że gdy byłem 2008 roku na dworcu autobusowym we Wrocławiu, to był on po prostu paskudny. Strasznie brzydkie i zanieczyszczone. A teraz? Dworzec jest super, jest nowoczesny, obok nawet znajduje się galeria handlowa. Wszystko jest bardzo ładne, pomalowane...

No właśnie, kiedy ta szarość ustąpiła miejsca kolorom?

Podczas mojej wizyty w 2008 roku na dzień dobry dostrzegłem, że wszystkie szare bloki zostały pomalowane. Wcześniej one były okropnie szare, więc zmiana była ogromna. Ale niektórzy właściciele budynków... poszli w drugą stronę! Są bloki po-

malowane na ładne kolory, ale są też takie w kolorze li-monki, jaskrawej zieleni albo fioletu... To jest okropne. Nie rozumiem, kto wybrał te kolory, ale ten człowiek powinien stracić pracę. Ogólnie kwestia kolorów kojarzy mi się mocno z Polską. Moja babcia wyjechała do USA jako pierwsza z rodziny i przez pewien czas wysyłała mi ubrania. To było jeszcze w latach 80., kiedy z rodzicami mieszkaliśmy w Polsce. Pamiętam, że mój tata był bardzo zdziwiony, gdy babcia przysłała mi czerwone koszulki. „Wow! Ta czerwień jest tak bardzo czerwona!” – mówił. I ludzie też to zauważali. Kiedy szedłem ulicą w takiej koszulce, to ona przyciągała wzrok przechodniów. Te kolory były bardziej... „kolorowe” niż wtedy w Polsce.

Dlaczego w ogóle Twoja rodzina wyjechała do USA?

Jak wspominałem, babcia ze strony mojej mamy wyemigrowała w latach 80. My dołączyliśmy do niej później. A jaki był powód? Myślę, że po pierwsze, moim rodzicom nie podobało się wtedy to, jak wyglądało życie w Polsce. Do dzisiaj nie chcieliby wrócić do kraju. Wiem, że niektórzy Polacy mieszkający w USA tęsknią za Polską, mówią, że chcą wrócić, ale moi rodzice tak nie mają. Z tego, co wiem z opowieści rodziców, to w latach 80. żyło im się w Polsce bardzo ciężko. Mój tata jest lekarzem i na pewno uważał, że w USA mógłby zarabiać dużo więcej

właśnie jako lekarz. Wtedy w Polsce zarabiał – w przeliczeniu – może kilkanaście dolarów miesięcznie. Dzisiaj to jest kompletnie nie do wyobrażenia. W sumie szkoda, że dalej tak nie jest w Polsce, bo jaki ja bym był bogaty! Oczywiście żartuję. Wiem, że kiedyś babcia wysłała rodzicom pocztą sto dolarów. To było prawie tyle, ile mój tata zarabiał w rok! Ciężko w to uwierzyć.

Jako dziecko nie pytałeś rodziców, dlaczego musicie zostawić życie w Polsce i przenieść się na drugą stronę kuli ziemskiej?

To ciekawe, ale w sumie nigdy nie pytałem ich wprost, dlaczego podjęli decyzję o emigracji. Myślę, że to po prostu było oczywiste.

W swojej książce piszesz, że Polacy w latach 90. byli chudzi.

Byli przeraźliwie chudzi! To jedno z najbardziej wyraźnych wspomnień, jakie mam z lat 90. Polacy byli megachudzi, zero tłuszczu – szczególnie dzieci. Ja byłem pulchniejszym dzieckiem, więc kiedy przyjechałem do Polski w 1995 roku, to pamiętam, że inne dzieci mówiły: „Przyleciał gruby Amerykanin!”. To było nieprzyjemne, choć dzisiaj rozumiem, że dla wszystkich grube dziecko było wtedy czymś absurdalnym. Dzisiaj nikt by tak nie pomyślał, teraz byłbym normalnym dzieckiem. Ale w tamtych czasach niemal każdy Polak to była chodząca skóra i kości. Co cie-

kawe, wszyscy moi kuzyni, którzy w tamtych czasach byli skrajnie chudzi i śmiali się ze mnie, dzisiaj są otyli. To też pokazuje, jak wiele się w Polsce zmieniło.

Ale z Amerykanami chyba nadal nie możemy w tej kwestii konkurować?

Faktycznie, często słyszę ten stereotyp, że Amerykanie są bardzo grubi. Pewnie, że są. Ale zawsze pytam: „Czy wy nie widzicie, jak wiele otyłych osób jest Polsce?”. Coraz mniej widać tę różnicę, szczególnie jeśli chodzi o starszych ludzi. Z moich obserwacji wynika, że starsi ludzie w Polsce codziennie wpie***ają (inaczej nie da się tego nazwać) ogromne ilości ciasta. Ciasto musi być do kawy, do herbaty. A poza tym w polskich domach niczego nie można zostawić na talerzu, wszystko trzeba w siebie wcisnąć. Czasem myślę, że ci ludzie zachowują się tak, jakby trwała jakaś wojna i każda drobina jedzenia była na wagę złota.

W USA jest odwrotnie?

W USA generalnie ludzie wiedzą, że problemem jest to, że jedzenia jest za dużo. I myślę, że w Polsce powoli ludzie też to widzą.

W dzieciństwie spotykała Cię dyskryminacja z powodu Twojego polskiego pochodzenia?

Przez długi czas mieszkalem w Filadelfii w polskiej dzielnicy. Tam jest naprawdę bardzo wielu Polaków. Idąc ulicami słyszy się w zasadzie jedynie język polski. Do dzisiaj żyją ludzie, którzy są tam od 30-40 lat i nie mówią po angielsku. Niektórym Amerykanom nie podobało się, że jest tam tak wielu Polaków i faktycznie spotykałem się z objawami dyskryminacji, czy niechęci z uwagi na moją narodowość. Ale generalnie warto wiedzieć, że to jest bardzo nietypowe za-

chowanie dla większości USA. W innych miejscach, gdy ludzie dowiadawali się skąd pochodzę, często reagowali słowami: „Wow! Jesteś z Polski? To ciekawe!”. Natomiast w Filadelfii reakcją było: „Ech, jeszcze jeden!”.

Jakie nieprzyjemne teksty słyszałeś pod swoim adresem?

Ludzie mówili często „F***ing Polack”. „Polack” to słowo obraźliwe, można je przetłumaczyć jako „Polaczek”, albo coś w tym stylu. Było tego trochę, szczególnie z dziećmi, chociaż moja mama też tego doświadczyła od dorosłych.

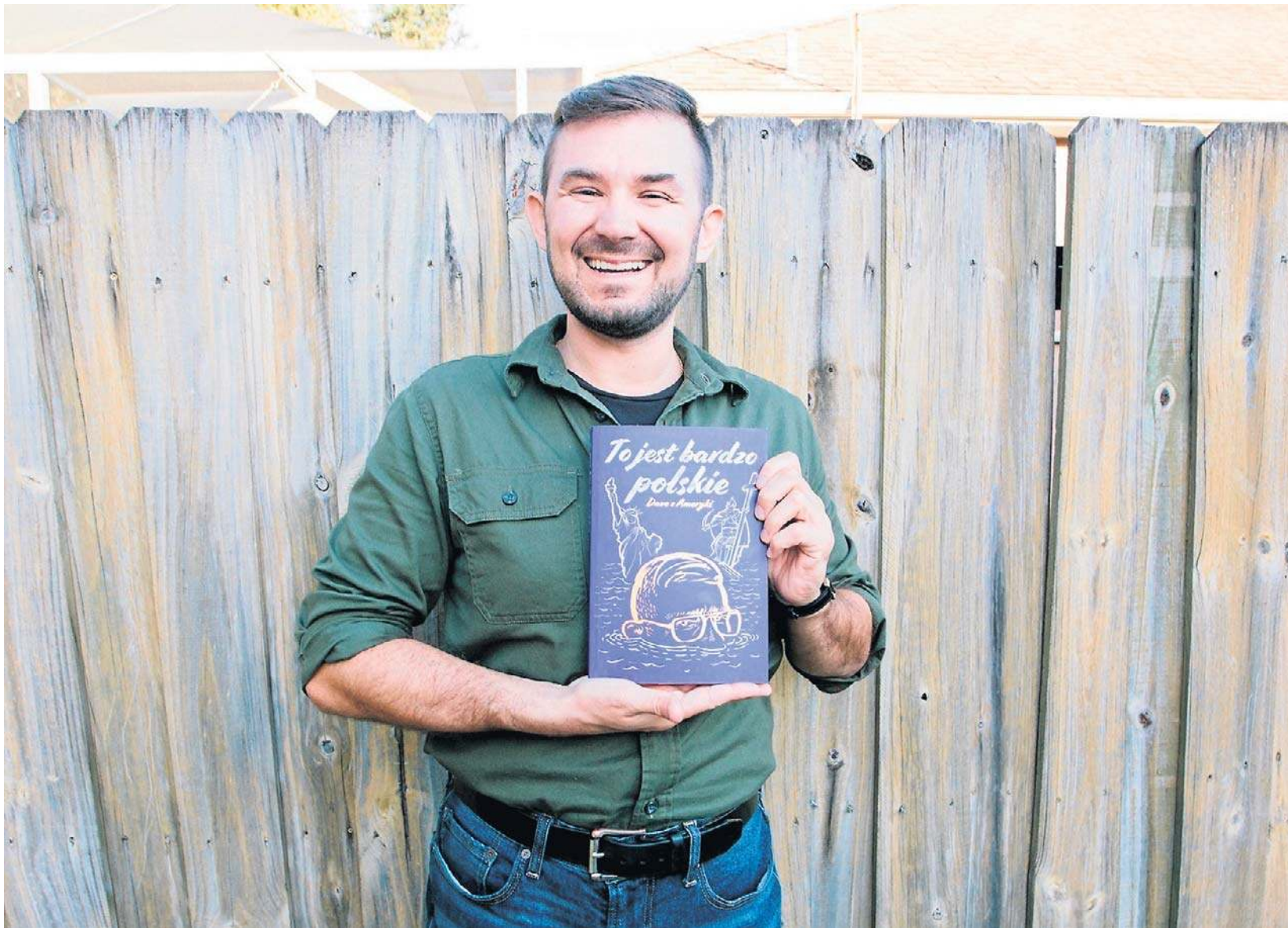
Z drugiej strony przez dzieci w Polsce musiałeś być traktowany jako supergość, przybysz z innego świata.

Rzeczywiście, dla Polaków przez wiele lat Ameryka była lepszym światem. Pamiętam, że kiedyś w Polsce bawiłem się na placu zabaw z innym dzieckiem. Gadał mi o tym, że po-wiedzialem mimochodem, że mieszkam w Stanach, a do Polski przyjechałem tylko na lato. To dziecko mi nie uwierzyło, myślało, że kłamałem. Dla niego USA to było jak miejsce mityczne. To było niemożliwe, że ktoś stamtąd mógł przyjechać do Polski. Dla niego było to zupełnie nierealne.

Przez całe dekady Polacy uważali Stany Zjednoczone niemal za raj. Wszystko co amerykańskie było z definicji lepsze – muzyka, ubrania, styl życia. A czy jest coś, w czym to Polacy biją Amerykanów na głowę?

Polacy mają w Stanach opinię ludzi bardzo pracowitych. Amerykanie najczęściej uważają, że Polacy są „fachowcami”. Na przykład jeśli nasi rodacy w USA budują lub remontują swoje domy, to te domy są naprawdę ładne, bardzo zadbane, porządnie zrobione. Polacy mają opinię ludzi, którzy chcą mieć ładne,

*POLACY W USA MAJĄ OPINIĘ LUDZI
BARDZO PRACOWITYCH.
AMERYKANIE UWAŻAJĄ POLAKÓW
ZA „FACHOWCÓW”. DRUGĄ CECHĄ
POLAKÓW JEST GOŚCINNOŚĆ*



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Dave z Ameryki w zabawny i niezwykle oryginalny sposób opowiada o przeróżnych aspektach życia w Polsce i w USA. Jego kanał na YouTube subskrybuje ponad 225 tys. osób, a wszystkie filmy Dave'a zebrały dotąd łącznie ponad 34 miliony wyświetleń

dobre, solidne rzeczy. I tym faktycznie wyróżniają się na tle Amerykanów. A druga taką cechą jest polska gościnność.

Polacy są bardziej gościnni od Amerykanów?

Zdecydowanie. Jeśli idziesz do Amerykanina do domu, a nie znasz go za dobrze, to on praktycznie nigdy nie zaproponuje ci np. niczego do picia. Musisz sam zapytać, czy możesz się czegoś napić. Natomiast jeśli idziesz do Polaka, to ten od razu poda ci kawę, herbatę, zaproponuje pierogi, gołąbki, bigos. Polacy zawsze coś mają i czymś ci poczęstują. Nawet jeśli nie mają przygotowanego posiłku, to chociaż zrobią ci kanapkę. A Amerykanie ogólnie najczęściej niczego nie mają w lodówce.

Faktycznie, ciężko wyobrazić sobie, że przyjmujesz gości i nie proponujesz im czegoś do picia lub zjedzenia.

Zawsze kiedy organizowałem imprezę u mnie w domu, to przygotowywałem też jedzenie. Zazwyczaj jakieś przekąski, ale czasem nawet coś konkretniejszego. Pewnego razu podczas jednej takiej imprezy podszedł do mnie mój kolega Amerykanin i powiedział:

„Wiesz, dopiero jak ciebie poznałem, to pomyślałem, że na imprezach można mieć jedzenie! To jest dobry pomysł!”. A w Polsce to jest przecież obowiązkowe, że na imprezie musi być jedzenie.

Polacy dziś są innymi ludźmi niż w latach 90.?

Jasne, że tak. To widać szczególnie w dużych miastach, chociażby w restauracjach. Idziesz do knajpy i kelner wita cię z uśmiechem, jest miły, zagaduje. Jeszcze w 2008 roku wydaje mi się, że takie zachowanie było wielką rzadkością. Ja wtedy nie mogłem tego zrozumieć, nie wiedziałem, jak ludzie mogą tak żyć. W USA każdy się do siebie uśmiecha, zamieni przynajmniej kilka zdań. A w Polsce wtedy było kompletnie odwrotnie. Pamiętam, że byłem kiedyś w supermarkecie i gdy podszedłem do kasy, to zagaiłem do pani kasjerki: „Dzień dobry. Jak tam wszystko?”. A ona na to: „Co to znaczy?! Co wszystko?! Jakie wszystko?”. Ja chciałem jedynie niewinnie zagaadać, a ona zrobiła groźną minę i skanowała moje produkty, jakby wyrządziły jej jakąś krzywdę. Z takimi reakcjami często wtedy się spotykałem.

Teraz jest inaczej?

Tak, teraz różnica jest kolosalna i to nie tylko w przypadku młodych ludzi. Wczoraj byłem w supermarkecie i przy kasach samoobsługowych stała pani, która pomagała klientom. Miała może 40 lat. Była bardzo miła, zagadywała, rzucała śmiesznymi tekstami. Za każdym razem, gdy przyjeżdżam do Polski, to stwierdzam, że ludzie są coraz bardziej otwarci. I to jest fajne.

Twoim zdaniem Polacy dostrzegają, jak wielką przemianę przeszedł nasz kraj?

Myszę, że jest z tym bardzo różnie. Nawet kiedy byłem już starszy i przyjeżdżałem do Polski, to ludzie często pytali mnie: „Wow, USA to najlepszy kraj na świecie, a ty przyjechałeś tutaj, do Polski? Zwariowałeś?!”. Tak to mniej więcej brzmiało. Musiałem tłumaczyć, że po pierwsze Stany Zjednoczone wcale nie są takie supergenialne, a po drugie – w Polsce wcale nie jest tak źle, jak oni myśleli. Ale mam świadomość, że Polska wykonała olbrzymi skok w bardzo krótkim czasie i może ludziom mieszkającym w Polsce trudniej było to dostrzec niż osobom, które odwiedzały Polskę co kilka lat i mogły porównać sobie każdą

taką wizytę. W 2015 roku leciałem do Polski z moim kolegą Amerykaninem. Pamiętam, że przed podróżą spytałem go złowieszczo: „Are you ready to enter Eastern Europe?”. Ale gdy wylądowaliśmy w Polsce, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Wtedy zrozumiałem, że Polska to już wcale nie jest Eastern Europe. On był zdziwiony, nie rozumiał, dlaczego go straszylem. „Przecież tu jest ładnie!”. Cóż, miał rację.

To właśnie obserwując różnice między Polską a USA postanowiłeś założyć kanał na YouTube?

Moja koleżanka przez długi czas mówiła, że powinienem napisać książkę, w której opisałbym wszystko, o co ludzie mnie ciągle pytali. Ja ogólnie często mówiłem, że coś jest bardzo polskie i ludzi to interesowało, byli zdziwieni, że jakieś ich zachowanie nie jest powszechne poza Polską. W Stanach łatwo to dostrzec – kiedy jesteś z Polonii, to widzisz, że pewne twoje zwyczaje różnią się od tego, jak żyją Amerykanie. Wtedy łatwo zrozumieć, że są rzeczy, które są po prostu polskie. Ale żyjąc w Polsce, wiele osób nie ma tego porównania. Np. wielu ludzi było zdziwio-

nym, kiedy mówiłem, że w USA ludzie nie jedzą kapusty tak często jak Polacy. Kiedy więc na okrągło spotykałem się ze zdziwieniem, gdy mówiłem, że coś jest bardzo polskie, to chodziły mi po głowie myśli, żeby może faktycznie napisać książkę. Ale z czasem pomyślałem, że lepiej byłoby nagrać coś na YouTube. Najbardziej popchnęły mnie do tego rzeczy, które wkurzały mnie w Polsce. Czułem, że muszę o tym powiedzieć, nawet gdyby miało to obejrzeć mało osób. Bo po prostu tak mnie to wkurzało.

Co konkretnie denerwowało Cię w Polsce?

Chyba jeden z pierwszych filmów na moim kanale dotyczył tego, że kiedyś w sklepach, gdy czekałeś w kolejce, to kasjerki tak nieprzyjemnie wrzeszczały: „Zapraszam!”. Nie były miłe, były agresywne, miały srogie, groźne miny. Niby mówiły: „Zapraszam”, ale ja wcale nie czułem się zaproszony, wręcz przeciwnie. Kompletnie tego nie rozumiałem. Inną niezrozumiałą dla mnie rzeczą było to, że Polacy... boją się wiatru. Boją się przeciągu, klimatyzacji. W Stanach nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Myślałem, że tylko moja babcia tak myśli, ale uznawałem, że po prostu jest osobą starszą i ma jakieś swoje dziwne pomysły. A potem dowiedziałem się, że istnieje cały naród, który boi się przeciągu! Co więcej – Polacy zdawali się myśleć, że to jest normalne, że wszyscy ludzie na świecie boją się wiatru! Kompletny odlot. O tym też czułem potrzebę powiedzenia w filmie. Chciałem pokazać, że nie każdy myśli tak jak Polacy. W Stanach jest dużo różnych kultur, każdy ma inne pocho-dzenie. Ludzie są bardziej różni od siebie. Nieraz mam wrażenie, że wszyscy w Polsce są tacy sami. Wydaje się, że wszyscy są katolikami – nawet niewierzący. Wszyscy byli wychowani w ten sam sposób. To tak, jakby Polacy wszyscy mieli tę samą mamę. Mam nadzieję, że rozumiecie, o co mi chodzi.

Co jest najchętniej oglądane na Twoim kanale?

Ja potrafię gadać o wszystkim, ale zauważyłem, że czasami najgłupsze tematy wywołują najwięcej reakcji. Jakichś czas temu zrobiłem filmik o surówce w USA i Polsce. Ludzie bardzo chętnie to oglądali i komentowali. Albo film o kawie – jakie są różnice w Polsce i Stanach. To też ludzie zaciekało. Generalnie bardzo chętnie są oglądane filmy, w których poruszam po prostu zwykłe, codzienne kwestie.

W końcu napisałeś też książkę.

Tak, nadal czułem potrzebę, żeby coś napisać i cieszę się, że udało się to zrobić. Generalnie odbiór książki był pozytywny. Ludzie pisali do mnie, że dzięki niej mogli spojrzeć na „polskość” z nieco innej perspektywy. Myszę, że to jest zawsze ciekawe i wartościowe, jeśli można spojrzeć na siebie z nieco innej strony.

Zbliżają się wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych. Jak ważne są one dla Polonii amerykańskiej?

Trzeba pamiętać, że większość Polonii w Stanach stanowią ludzie starsi. I ogólnie nawet z badań wynika, że seniorzy częściej głosują niż młodzi. Tak po prostu jest. Ale czasami ludzie głosują w USA i w Polsce. Ja nie mam problemu z tym, że Polonia może głosować w Polsce, bo skoro ludzie są obywatelami Polski, to powinni mieć takie prawo. Ale od strony etycznej myślę, że jeśli nie mieszkasz w danym kraju, jeśli podejmujesz świadomą decyzję, że przeprowadzasz się do innego państwa, to nie powinieneś decydować, jak mają żyć ludzie, którzy zostali w tym kraju. Ale to tylko moje zdanie.

Media piszą: „Wstrząsy w imperium Solorza”. To rzeczywiście trzęsienie ziemi, czy raczej coś typowego, co się w rodzinnych firmach po prostu zdarza?

Oczywiście, że to jest trzęsienie ziemi i to w dwóch światach. Firmy rodzinne są złożonym systemem, składającym się – mówiąc obrazowo – z dwóch planet. Rodzina jest z Wenus, a biznes z Marsa. Podróże między tymi światami to trudne wyzwanie, więc mamy do czynienia z wyzwaniem na obu planetach. Biznes nie lubi takich sytuacji – widzieliśmy to po natychmiastowych reakcjach giełdowych. Mogę sobie wyobrazić, co się dzieje w zarządach i wśród pracowników.

Pojawił się strach o przyszłość?

Z pewnością rodzi się niepokój. A jednocześnie, gdybyśmy polecili na „planetę Wenus” i spojrzeli na to, co dzieje się w rodzinie, widzielibyśmy całą paletę emocji. Kiedy rodzice piszą listy, w których wymieniają swoje dzieci...

Publicznie!

List Zygmunta Solorza nie był publiczny, został upubliczniony. Ale z pewnością wiąże się z nim szereg emocji. Takie sytuacje nie są odosobnione, jednak trudność polega na tym, że w tym przypadku wszystko dzieje się publicznie. To budzi mój głęboki sprzeciw. Rozmowa bez znajomości faktów sprawia, że mogą pojawić się różne interpretacje, które nadadzą tej sytuacji nowe znaczenia. A to z kolei może spowodować, że interpretacje wykną się spod kontroli, nawet w rodzinie. Trzymam kciuki, za harmonię, za porozumienie. Wiem, że im więcej spokoju w takich sprawach, tym większa szansa na to, że się uda porozumieć.

Na ile takie sytuacje są częste w polskich firmach rodzinnych?

Kiedy zdecydowałam się na edukację w obszarze sukcesji, szłam za głosem babci, która mawiała: „Jeśli masz się uczyć, to ucz się od najlepszych”. Pojechałam więc do Szwajcarii, do Center for Family Business w St. Gallen. Tam usłyszałam, że firmy rodzinne mają trzy potężne wyzwania. Pierwsze, to sukcesja. Drugie, to sukcesja i trzecie... też sukcesja. Z resztą sobie poradzą, bo są przedsiębiorcami. Kryzysy gospodarcze i inne wyzwania to dla nich codzienność. Ale sukcesja, która jest przesycona emocjami, to coś, z czym naprawdę muszą się zmierzyć. Profesorowie zarządzania rwą sobie włosy z głowy, gdy się tym zajmują.

W kontekście imperium Solorza niektórzy mówią, że to właśnie „sukcesja po polsku”. Czy są kulturowe, prawne lub

psychologiczne czynniki, które sprawiają, że w Polsce sukcesja jest trudniejsza lub specyficzna?

W żadnym razie. Przede wszystkim nie mamy jeszcze wzorców. Cała Europa Środkowo-Wschodnia znajduje się w nowej dla siebie sytuacji. Jako Instytut Biznesu Rodzinnego relatywnie wcześniej zaczęliśmy ten temat zgłębiać i profesjonalizować, poprzez edukację i szkolenia. Widzę jednak, że wiele osób z takich krajów jak Słowacja, gdzie mamy siostrzany oddział, Litwa, Łotwa czy Estonia zgłasza się do nas po dobre wzorce, jak to zrobić. Specyfika polega na tym, że przechodzimy przez to po raz pierwszy, więc przedsiębiorca nie ma doświadczeń, które mógłby porównać. Nie ma dziadków, których mógłby o to zapytać. Ale cała reszta, emocjonalność, jest uniwersalna na całym świecie. Ludowe przysłowia na różnych szerokościach geograficznych mówią to samo: „Dziadek buduje, ojciec utrzymuje, wnuk rujnuje”. Każdy kraj, każda szerokość geograficzna ma własne powiedzenie na ten temat, łącznie z Afryką, w której mawiają: „Dziadek kupuje krowę, ojciec ją doi, wnuk zarzyna”. Ciekawostką jest, że dojsie do trzeciego pokolenia w firmach rodzinnych to prawdziwe wyzwanie. Ale kiedy już się to osiągnie, system rodzinny nabiera doświadczenia, które pozwala prowadzić firmę przez kolejne pokolenia. Największym wyzwaniem jest dojsie do tego trzeciego pokolenia.

Wracając do polskiego kontekstu i tego, co obecnie frapuje opinię publiczną – do mediów przedostały się najpierw informacje o tym, że dzieci Solorza wysłały list do menedżerów, bo nie mają kontaktu z ojcem. Odpowiedź ojca sugerowała, że może pozbawić dzieci udziału w zarządach spółek. Głośno też o konflikcie dzieci z nową partnerką ojca.

Zacznijmy od uporządkowania faktów: po pierwsze, te listy nie były medialne, a zostały wysłane drogą profesjonalną do zarządów. Jesteśmy więc w sferze firmowej, gdzie nic nie trafiło jeszcze do mediów. Dzieci piszą do zarządów firm, które do nich należą. To pewnie nie jest częsta forma komunikacji, ale coś je skłoniło, by podjąć taką decyzję. Ich ojciec również odniósł się do zarządu w tych firmach. I teraz uwaga – w Polsce bardzo często pojawia się mylne wyobrażenie, które zauważam w komentarzach w mediach społecznościowych, że władza oznacza własność.

Tak nie jest?

Dobrze rozumiana sukcesja zawiera się, jak to mówię,

– To trzęsienie ziemi w dwóch światach – biznesowym i rodzinnym. Rodzina to Wenus, biznes to Mars, a podróżowanie między tymi światami jest bardzo trudne – mówi dr Adrianna Lewandowska, prezeska Instytutu Biznesu Rodzinnego, ekspertka ds. strategii i sukcesji w firmach rodzinnych

Anita Czapryn



Dr Lewandowska: W Europie Zachodniej firma rodzinna jest podstawą gospodarki

TURBULENCJE W IMPERIUM SOLORZA, CZYLI O SUKCESJI

w pięciu „W”. Pierwsze „W” to wiedza, a z nią kompetencja i umiejętności. Drugi element dotyczy władzy, rozumianej jako odpowiedzialność. Oddanie władzy dzieciom jest chyba najtrudniejszym elementem w całym procesie sukcesji.

Czy dlatego, że rodzice traktują firmę jak swoje dziecko,

które sami stworzyli i dlatego „wiedzą lepiej”?

Tak, mają takie przekonanie przez całe życie i z tym przekonaniem umierają. I to się nie zmienia nigdy. Nawet gdy ojciec nie ma już formalnego związku z firmą, nadal uważa, że wie lepiej. Ale wróćmy do modelu: pierwsze to wiedza, drugie to władza. Trzeci punkt to własność, czyli jak

partycypować udziałami. Te trzy kwestie są bardzo trudne do przeprowadzenia, dlatego warto oprzeć je na czwartym punkcie, którym są wartości. Jakie wartości chcemy jako rodzina wspólnie pielęgnować? Czy stawiamy na rozwój za wszelką cenę, co oznacza internacjonalizację i dynamikę, czy może ktoś woli wolniejsze tempo? To są istotne

rzeczy, o których trzeba rozmawiać. I wreszcie piąty punkt – wizja, czyli w jakim kierunku chcemy podążać. To ma być wspólna, międzypokoleniowa wizja. W przypadku Solorza mamy do czynienia z sytuacją, w której ojciec napisał wprost, że być może dzieci nie będą aktywne w zarządach, ale nie było słowa o pozbawieniu ich własności. Spekulacje mediów są uproszczeniem i nieuzasadnioną interpretacją.

Czym więc jest sukcesja? Pewnie można ją różnie rozumieć?

Dla mnie sukcesja to zmiana pokoleniowa, polegająca na przekazaniu tych pięciu „W”. W każdym z tych obszarów musi nastąpić zmiana i trzeba ją zaplanować. Zmiana pokoleniowa dotyczy przekazania wiedzy, władzy i własności, co również jest elementem sukcesji i musi być zaplanowane. W Szwajcarii usłyszałam, że sukcesja trwa od 7 do 10 lat. Przeprowadziłam badania w Polsce i niektórzy sądzą, że u nas to może trwać rok. Niestety, rok wystarczy co najwyżej na napisanie testamentu.

Co się dzieje, gdy właściciel firmy rodzinnej umiera? Tak było w przypadku Jana Kulczyka.

Przeprowadziłam kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt sukcesji w sytuacjach, kiedy ktoś odchodzi nagle, a następne pokolenie musi stawić czoła faktom dokonany. To niezwykle trudny moment. Na śmierć rodzica nigdy nie jesteśmy dostatecznie przygotowani, a już na pewno nie wtedy, gdy ojciec prowadził dużą firmę lub grupę kapitałową. Wtedy stres jest podwójny – z jednej strony dzieci przeżywają to jako ludzi, mają prawo do żałoby, do płaczu, a jednocześnie wiedzą, że to one za chwilę będą podejmować decyzje.

Czyli dzieci trzeba przygotować do sukcesji wcześniej?

Tak, specjalizacją Instytutu jest przygotowywanie rodzin do zmiany pokoleniowej. Najlepiej, gdy to przygotowanie zaczyna się, kiedy w rodzinie wszystko idzie dobrze, a jej członkowie chcą ze sobą rozmawiać. Wtedy można pracować nad konstytucjami rodzinnymi. Myślę o tym jak o procesie, który kończy się dokumentem, ale cała rodzina musi przez ten proces przejść. Spotykam się najpierw z każdym członkiem rodziny i pytam, kto wchodzi w jej skład, bo to też jest ważne. Kiedyś było prosto – mama, tata, dzieci. Dziś sytuacja bywa bardziej złożona: mama i nowy partner, tata i nowa partnerka, czasem tata z drugą partnerką, z trzecią. Albo mama z partnerką i tata z partnerem. Dolce & Gabbana, czy to firma rodzinna? Mogą nią

być, jeśli tak ustalili. Zatem pierwsze pytanie, to kto jest dla ciebie rodziną? Z kim pracujemy, kogo pomijamy? To istotne także z perspektywy skutków prawnych. Jeśli chcemy mieć wszystko dobrze ułożone - nie tylko moralnie, ale też prawnie - musimy zadbać o to, by żadne zobowiązania nie zostały przeoczone. To także ciekawy aspekt sukcesji. Kiedy już wiemy, kto jest rodziną, pracujemy nad konstytucją. W jej ramach są obszary, które muszą być przedyskutowane, bo jeśli nie, to prędzej czy później coś się zawali. Dlatego zachęcam do pracy nad konstytucją - to element ładu rodziny. Jak rada nadzorcza, która ma swój regulamin, tak i rada rodziny, której jestem protektorem, ma swoje zasady. Prowadzę ten proces do momentu realizacji postanowień; on buduje zaufanie w rodzinie. Wszyscy postanawiają, że tego będą się trzymać, podpisują dokument, a następnie przekształcam go w dokumenty prawne - i tym jest konstytucja.

Każda rodzina ma swoje tajemnice, „trup” w szafie”, a także konflikty. Jakie mają one znaczenie w procesie sukcesji?

Ogromne. Mawia się, że każdy dom ma swój „grom”. Kiedy wspominałam o Marsie i Wenus - trzeba dodać, że na tych dwóch planetach panują zupełnie inne zasady. Na Marsie - czyli w biznesie mamy strukturę, hierarchię, jasne cele. Dowozisz wyniki, dostajesz premię, silniejszy wygrywa. To jest biznes. Natomiast na Wenus, w rodzinie, obowiązuja inne wartości i systemy. Tu jest akceptacja, tu się kochamy, niezależnie od tego, czy jesteś piękny, brzydki, chudy czy gruby. Nie zwolnię cię dlatego, że się rozchorowałeś, bo tu nie ma L4 - tu jesteś moim mężem, żoną, dzieckiem, na zawsze. Te dwa systemy, biznesowy i rodzinny, często się przenikają. I kiedy w systemie rodzinnym dochodzi do kłótni, przenosi się to na planetę biznesową. W takich przypadkach należy wprowadzić tzw. bezpieczeństwo psychologiczne, czyli najpierw zakontraktować się, by „nałożyć plasterki” na rany i zobaczyć, skąd te rany pochodzą. Często są stare, a wciąż bolące. „Nie było cię w domu, kiedy byłam małą. Chodziłam do przedszkola, a ty mnie nie odebrałeś. Nie było cię na moim pierwszym przedstawieniu. A wiesz, że nauczyłam się pływać? Nie widziałeś tego”.

A kiedy jest więcej dzieci, pojawia się też zazdrość?

Kiedy jest więcej dzieci, mogą pojawić się ciekawe konflikty. Nazwałam to „Trójkątem Bermudzkim”, bo konflikty często wynikają z trzech głów-

nych obszarów. Po pierwsze, są to zranienia z dzieciństwa - rzecz, która dotyka każdej rodziny. Po drugie, pojawiają się konflikty dotyczące pieniędzy. To banał, ale tak jest. Pierwszy powód do kłótni to właśnie majątek: „Ona ma większy dom niż ja. Siostra dostała od mamy pieniądze na kuchnię, a ja nie dostałam”. Reguły związane z dostępem do pieniędzy są bardzo ważne. Gdy ich brakuje, łatwo o konflikt - o samochody, o to, kto ma większy, bo brat ma SUV-a, a ja będę prezesem, więc muszę mieć większy samochód. „Ale jeszcze nim nie jesteś”. „Ale teraz wożę dzieci do szkoły, więc potrzebuję więcej miejsca. W ogóle dla niani też powinien być samochód”. Kłótnie mogą dotyczyć dosłownie wszystkiego, nawet torebki. Dlatego uporządkowanie obszaru związanego z pieniędzmi i transparentnym dostępem do nich jest niezwykle istotne. Kolejny obszar konfliktów to władza - kto i co może w tej rodzinie. Kto będzie prezesem? Dlaczego ty, a nie ja? To jest coś, co trzeba dobrze uzasadnić. W słynnym serialu „Sukcesja”, którego ostatni odcinek śledziło trzy miliony widzów, pada ważne zdanie: „Tata powiedział, że to ja będę prezesem”. „Kiedy ci to powiedział?” „Miałem siedem lat, powiedział mi to, jak byliśmy w kuchni”. I tak często bywa - ojciec obieca jednemu dziecku, potem pójdzie z drugim na polowanie i powie mu to samo. W ten sposób każde z dzieci czuje, że kiedyś usłyszało to od rodzica. Zazdrość o fotel prezesa to poważna sprawa, ale też chodzi o to, kto podejmuje decyzje w domu. Władza to bardzo gorący temat. Kolejny powód konfliktów to uznanie.

Każdy z nas potrzebuje uznania.

Każdy. „O, zauważył mnie!”. Spośród moich sukcesorów 90 procent mówi: „Czuję się niewidzialny, jakbym nosił czapkę-niewidkę. On (czyli tato, szef) mnie nie widzi, nie słyszy tego, co mówię, nie słyszy moich argumentów. Ona (czyli mama, szefowa) nie zauważa tego, co robię”. Dzieci czasami dochodzą do rodziców poprzez pracowników. Gdy wiedzą, że ojciec i tak ich nie wysłucha, zanoszą swój świetny pomysł „dookoła”.

Z badań, które przeprowadził Instytut Biznesu Rodzinnego wynika, że w Polsce istnieje niechęć do sukcesji. Dzieci nie chcą przejmować firm od rodziców. Z jakich powodów? Pierwsze badania na ten temat przeprowadziłam w 2016 roku na dużej próbie 22 tysięcy studentów. Powtarzałyśmy je co dwa lata i wynik jest podobny - wciąż niezmiennie tylko 8

procent dorosłych dzieci z rodzin właścicielskich chce przejmować odpowiedzialność za prowadzenie biznesu, czyli za zarządzanie nim „day by day”. Wyniki mnie zdumiały, spodziewałam się, że ten procent będzie znacznie wyższy. Jednak im większa firma, tym większa chęć przejęcia odpowiedzialności - dochodzi nawet do 25 procent. Widzę, że jest to powiązane ze skalą działalności: im większy majątek, większa odpowiedzialność, im bardziej rozwinięte imperium, tym większa chęć uotożsamienia się z firmą.

Dlaczego dzieci nie chcą przejmować firm po rodzicach?

Powodów jest wiele. Pierwszy, który często wymieniają, to trudność we współpracy z rodzicami. Tata jest autorytetem, silną osobowością. Mama - jeśli coś postanowi, to nie ma dyskusji. Poza tym w Polsce mamy do czynienia z pierwszą zmianą pokoleniową. To najtrudniejsza sukcesja - bo dotyczy założycieli. To oni wymyśliли, stworzyli firmę, ich „dziecko”, i jak teraz mają je oddać? Gdy jeżdżę na spotkania z rodzinami, najpierw oglądam firmę, patrzę na aktywa, produkcję, nieruchomości. I pytam prowokacyjnie właściciela: „A co cię interesuje poza firmą? Co lubisz robić? Czemu jeszcze poświęcasz czas, energię?”. Widzę wtedy spojrzenie pełne zdziwienia: „Ona nic nie zrozumiała! Pokazuję jej cały dzień firmę, a ona pyta mnie o hobby!”. To pierwszy sygnał, czy sukcesja w ogóle może się udać. Kiedy słyszę, że właściciel nie ma nic poza firmą, zastanawiam się, na co zamieni swoją działalność. Najpierw trzeba rozpaść w nim pasję do czegoś innego, bo inaczej zmiana pokoleniowa się nie uda.

Rozumiem powód, że z rodzicami może być trudno współpracować, ale innym powodem jest chyba to, że dzieci same chcą coś osiągnąć?

Tak, to jest drugi powód. Co ciekawe, z badań wynika, że prawie 78 procent dzieci chce zakładać własne biznesy. Dzieci właścicieli często decydują się na własną działalność, bo widzą, jak ich rodzice działają przedsiębiorczo, obserwują ich aktywność. Widzą, że tata nie czeka na nic, tylko sam załatwia sprawy, więc sami są w tej kreatywnej sile.

Kolejna kwestia związana z sukcesją to płęć. Tradycja mówi, że majątek i dziedzictwo zostawia się pierworodnemu synowi. Jak to wygląda dzisiaj?

Kiedy pytała pani o „sukcesję po polsku”, to właśnie to jest ta cecha charakterystyczna dla nas. Tak pokazują badania i takie są moje doświadczenia

MAMY DWA MILIONY FIRM, Z CZEGO OKOŁO POŁOWA FIRM ZAŁOŻONYCH W LATACH 90. – JEST OBECNIE W PROCESIE SUKCESYJNYM

- niestety, wciąż pierwsza myśl właściciela to „ten dziedzic, który się rodzi”, ten syn, który zostanie spadkobiercą. Słyszę to do dziś. Badania również pokazują, że w pierwszej kolejności wybieramy najstarszego syna.

Czy to tradycja, czy zakorzeniony stereotyp?

To w pewnym stopniu tradycja, ale nie tylko. Istnieją różnice pomiędzy kobietami a mężczyznami - jeśli projektuję ścieżkę rozwoju dla kobiety, która ma być sukcesorką, to stawiam jej ważne pytanie: „Jak planujesz swoje macierzyństwo i czy w ogóle?”. Pracuję w biznesie rodzinnym, nie w korporacji, więc mnie to obchodzi, bo wiem, że to jest powiązane z jej życiem prywatnym. W pewnym momencie ta córka założyciela sama będzie miała dylematy. Ojcowie często chronią córki przed takimi dylematami. Jest w tym pewna logika - jeśli córka planuje mieć na przykład troje dzieci i liczymy półtora roku na każde dziecko, to mamy sześć lat. Wtedy trudno pozwolić jej być prezesem na pełen etat.

Jak wygląda ten dylemat wśród polskich córek założycieli firm?

W Polsce kobiety łączą macierzyństwo z prowadzeniem firmy. Są dzielne, potrafią łączyć te wyzwania i po krótkiej przerwie wracają do pracy. Pięć lat od lat nasza ekspertka, pani profesor Alicja Hadrys, która specjalizuje się w sukcesjach kobiet. Ale chciałabym zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz.

Proszę bardzo.

Badania szwajcarskie pokazują, że jeśli kobieta zarządza firmą rodzinną, to nie tylko lepiej radzi sobie z jej prowadzeniem, ale także poprawiają się wyniki finansowe. Kobieta szybciej zauważa narastający konflikt, potrafi go rozładować, zanim eskaluje. Wiadomo, że gdy w firmie jest konflikt, przekłada się to na złe decyzje biznesowe, podejmowane za późno albo nie trafnie. Prewencja jest tutaj kluczowa, a kobiety mają w tym większe umiejętności. Dlatego bardzo kibicujemy sukcesjom kobietom!

Czasem właściciele decydują się sprzedać firmę. Czy to porażka, wstyd?

Dziękuję, że pani o to pyta. Często słyszę, że sprzedaż

firmy bywa postrzegana jako porażka, ale to nieprawda. Sprzedaż oznacza, że właściciel miał swoje powody, by to zrobić, i trzeba to szanować. W mojej perspektywie ważniejsze jest to, co rodzina zrobi z uzyskanym kapitałem. Trwanie w biznesie, który nie jest regeneratywny, może być nierozsądne - dzisiaj wchodzimy w erę cyfryzacji, sztucznej inteligencji, są branże, które mogą nie przetrwać. Dobrym przykładem jest rodzina Motzów związana z Fabryką Norblina. Jedna firma została sprzedana, ale kapitał, który z tego uzyskano, pracuje na nowe przedsięwzięcia. Fabryka Norblina to wspańiałe dziedzictwo, które zostawia sobie, ale i Warszawie! W to przedsięwzięcie zaangażowane są dzieci, kapitał dalej pracuje! Sprzedaż nie musi oznaczać porażki - może być początkiem nowej gałęzi działalności.

Wspomniała pani o życiu po sukcesji. Co dzieje się z właścicielami firm rodzinnych po przekazaniu firmy? Jak wygląda ich życie?

Trudno im to sobie wyobrazić. Sukcesja oznacza, że założyciel musi oddać insygnia władzy, bo inaczej nie zbuduje autorytetu następcy. Jeśli każe mu siedzieć w tym samym miejscu, z tymi samymi ludźmi, tylko nazywa go prezesem, a sam dalej ma fotel i gabinet - to nie zadziała. To bardzo długi proces, by się z tym oswoić. Badania pokazują, że wielu właścicieli, po sukcesji, otwiera restaurację, inwestuje w nieruchomości, zaczyna coś nowego. Słowo „emerytura” jest absolutnie zakazane - nie używa się go, bo może zamknąć cały proces. Sukcesja to dalsza aktywność, trochę jak życie po życiu, ale nadal aktywne. Babcia nie zaczyna nagle od prowadzenia wnuków do przedszkola, choć poświęci im więcej czasu, ale w innym wymiarze. Tak samo dziadek rzadko zajmie się ogrodem na tyle, by zostać działkowcem - to są ludzie aktywni, kreujący, więc będą dalej coś tworzyć. Dobrze, jeśli ta kreacja odbywa się z dala od firmy, którą przekazali. I teraz dochodzę do najtrudniejszej części, często zdarzają się powroty do firm! Właściciele nie dali rady być poza nią. Lista jest bardzo długa. Profesor John Word, który specjalizuje się w sukcesjach wielopokolenio-

wych, mówi, że sukcesja jest jak zebranie pasach - raz jest, raz jej nie ma, raz ją widzisz, raz nie. Podobne doświadczenia mam w Polsce. Właściciele przekazują firmę sukcesorowi, ten prowadzi ją dwa lata, a potem następuje krytyczny moment - jak po odstawieniu substancji uzależniającej, pojawia się nawrót. Wracają. Powodów jest milion, każdy do bry: „Adrianna, bo covid, bo obroty spadają, bo konkurencja stała się bardziej agresywna...”.

I trzeba ratować firmę?

Dokładnie. Albo inny przykład: branża budowlana, kobieta zarządza firmą, przejmują ją zięć. Firma świetnie się rozwija. Na rodzinnym spotkaniu ktoś chwali zięcia, kolejna osoba mówi, że dobrze sobie radzi. I wtedy kobieta nie wytrzymuje. W poniedziałek rano przychodzi do firmy i oznajmia: „Pomyślałam, że jest jeszcze dużo do zrobienia, więc muszę się tym zająć”. Nie dała rady znieść sukcesu następnego pokolenia, uznała, że musi jeszcze pozostać.

Gdyby miała pani możliwość cofnąć się w czasie i udzielić rady rodzinie, która zmierzała do trudnej sukcesji, co by pani powiedziała?

Powiedziałabym, że szczególnie trudna jest ta rodzina, która potrafi rozmawiać. Komunikacja jest kluczowa. Życzyłabym dobrej rozmowy. Wiem, że to trudne, często spotkania są odkładane na później. Unikamy takich rozmów, bo są trudne, bolesne, emocjonalne, bo narosło wiele niespełnionych oczekiwań. Dlatego najpierw trzeba się przygotować. Uważam, że moim obowiązkiem jest mówić o tym, jak to robić dobrze i mądrze, by właściciele wiedzieli, że nie są sami, że to problem, który dotyczy wielu. Niektórzy myślą, że firmy rodzinne to nisza, a to nieprawda, bo 80 procent PKB w Polsce tworzą firmy rodzinne. Mamy dwa miliony firm, z czego około połowa firm założonych w latach 90. - jest obecnie w procesie sukcesyjnym. W ciągu najbliższych czterech lat będziemy świadkami wielu takich procesów. W Polsce właśnie mamy do czynienia z falą sukcesyjną. W Europie Zachodniej firma rodzinna jest podstawą gospodarki i jest traktowana przez państwo jako coś wartościowego, co należy chronić, bo to one dają miejsca pracy i stabilizują gospodarkę. Czy u nas będzie podobnie? Czy wyberzemy model brytyjski, gdzie większy nacisk kładzie się na fundusze kapitałowe i bankowość? Z pewnością, jeśli chodzi o gospodarkę polską, to znajdujemy się w niezwykle ważnym momencie.

Co wy tam w telewizji pokazujecie? Jakież gangi młodzieżowe, margines społeczny, bazy... tak jakby nie było przyzwoitych organizacji młodzieżowych w naszym kraju! - tak „troszczył się” o morale młodych widzów jeden z partyjnych decydentów, który najwyraźniej nie do końca rozumiał ideę kolejnego projektu Stanisława Jędryki (miał już on na swoim koncie między innymi „Podróż za jeden uśmiech” czy „Wakacje z duchami”).

**„Stare miał dzinsy,
starą koszulę,
w dziurawych
kamaszach szedł!”***

- Serial pokazywał ówczesną młodzież, którą wychowywały ulica i podwórko. To zostało pokazane bardzo wiernie - mówił Henryk Gołębiowski, filmowy „Cegiełka”, w rozmowie z PAP. Tak pokrótce można opisać siedmiodziennicy cykl „Stawiam na Tolka Banana”, powstały na podstawie powieści Adama Bahdaja. Poznajemy w nim młodocianą, warszawską paczkę (gang Karioki), która swoimi działaniami balansuje na granicy prawa, zapewne nie rzadko ją przekraczając. Wkrótce dołącza do nich Julek (Filip Łobodziński), chłopak z dobrego domu, marzący o wyrwaniu się spod ciepłej pierzyny i przeżyciu czegoś ekscytującego. Poczynania gangu zostają diametralnie zmienione w momencie, gdy kontaktuje się z nim niejaki Tolek Banan, owiany legendą nastolatka. Skąd ta legenda? Najlepiej wyjaśni to, padająca w pierwszym odcinku, wypowiedź gosposi w domu Julka: „Rozdawał pieniądze rencistom i inwalidom. W »Kulisach« przez trzy tygodnie o nim pisali. Był nawet wywiad z dwoma takimi biedakami, co to przez pocztę dostali od niego po pięć tysięcy. Przekupki z bazaru wysłały list do ministra sprawiedliwości, żeby mu przebaczył. A pani Zielińska dała na niego na mszę świętą. Złoty chłopak”. Złoty chłopak, a może niebieski ptak - nie wyjaśniono bowiem, jak Banan wszedł w posiadanie rozdawanej przez siebie fortuny, wiadomo jednak, że poszukiwała go milicja, gdyż chłopak uciekł z poprawczaka.

**„Z odwagą w sercu,
z dumą na twarzy, czy
dobrze było, czy źle”**

Tak, jak wspomniano wyżej, Tolek Banan nawiązuje kontakt z gangiem Karioki, stając się jego przywódcą. Jako taki zleca swoim podwładnym pozornie „gangsterskie” zadania - ci zaś nie zdają sobie sprawy, że owe zlecenia wcale nie są niezgodne z prawem. Ba! Noszą wręcz znamiona dobrych uczynków. W dodatku nie orientują się, że przygotowana przez nich wła-

SERIAL „STAWIAM NA TOLKA BANANA”. GDZIE TA PRZYJAŹŃ, GDZIE TE PODWÓRKA?

To chyba pierwsza rodzima produkcja, która, skierowana do młodzieży, nie oferowała wyłącznie rozrywkowego przesłania, ukazując również bardziej mroczne strony codziennego życia nastolatków tamtych lat. Takie połączenie okazało się strzałem w dziesiątkę, a serial „Stawiam na Tolka Banana” z miejsca stał się przebojem

Wojciech Obremski



Tolek Banan nawiązuje kontakt z gangiem Karioki, stając się jego przywódcą. Jako taki zleca swoim podwładnym pozornie „gangsterskie” zadania

snoręcznie „melina” staje się normalnym i porządnym młodzieżowym klubem. Nie mogą też wiedzieć, że ich szefem nie jest wcale Tolek Banan, a niejaki Szymek Krusz, harcerz, który, działając w porozumieniu z pomysłodawcą panią pedagog, podaje się za legendarnego uciekiniera, by wzbudzić posłuch w członkach gangu, a następnie wyprowadzić ich na dobrą drogę. Rzecz jasna, mistyfikacja wkrótce zostaje odkryta, co nie spotyka się z zadowoleniem, niejako oszukanych, członków

gangu. Okazuje się jednak, że plan przyniósł z czasem spodziewany efekt, a paczka zmieniła swój pogląd na życie społeczne, wyznając zasadę „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. - Film pokazywał wartości związane z lojalnością grupową i że jest coś ważniejszego niż dorabianie się, aspirowanie do lepszego statusu materialnego. Pod koniec filmu wygrywa solidarność grupowa - powiedział PAP Filip Łobodziński, grający Julka, dziś między innymi dziennikarz i tłumacz.

**„Aż kiedyś odszedł,
odszedł daleko,
za siedem gór,
siedem rzek”**

Produkcja trwała trzy miesiące. Na jej miejsce wybrano stołeczne zakątki, które nie cieszyły się wówczas dobrą sławą - mieściły się one na Pradze, Grochowie i Kamionku, dzięki czemu idealnie ukazano scenę tego mniej znanego i mniej reprezentacyjnego oblicza Warszawy. Część scen powstała także na Saskiej Kępie czy na Stadionie X-lecia.

W Tolka Banana (vel Szymka Krusza) wcielił się Jacek Zejdl, któremu głosu użyczył 27-letni Andrzej Seweryn. A to dlatego, że filmowcom nie podobał się zbyt młody głos Zejdl. On sam odszedł w 1980 roku, zaś okoliczności jego śmierci wciąż nie są do końca wyjaśnione. Wśród wielu teorii pojawia się samobójstwo spowodowane zawodem miłosnym, mówiło się również, że za zgonem aktora stali funkcjonariusze SB.

Nie swoim głosem przemawia też Agata Siecińska, czyli Karioka. Dubbingowała ją, uważa: starsza o dwadzieścia lat Joanna Jędryka, małżonka reżysera. A oto powód: gdy zaproszono wszystkich do studia na nagrywanie postsynchronów, młoda aktorka leżała w szpitalu po wypadku na nartach, z nogą w gipsie. Było to ponoć sporym ciosem dla debiutującej artystki.

Wśród nas nie ma również Andrzeja Kowalewicza (Cygana), który w 2012 roku zginął w wypadku samochodowym. - Wzruszająca jest scena z filmu dokumentalnego „Tolek Banan i inni” [o którym więcej poniżej - przyp. red.], kiedy to filmowi: Julek, Cegiełka oraz reżyser Stanisław Jędryka spotykają się przy grobie Jacka Zejdl, filmowego Tolka Banana (Szymka Krusza), a Cygan wyjmując skrzypce i zaczyna grać „Balladę o Tolku Bananie” - czytamy na portalu Nostalgia.pl.

Trzy lata później odszedł Sergiusz Lach, który brawurowo zagrał rezolutnego i przedsiębiorczego Filipka. Jego powiedzonka „piramidalnie zajęty jestem” czy „muka!” weszły do języka potocznego. To drugie miało być zaczerpnięte od samego Adama Bahdaja, autora powieściowego pierwowzoru serialu i jego scenariusza. Otóż, jak wspominał syn pisarza Marek, ojciec zabrał go pewnego dnia na mecz. Upał łał się z nieba, a do picia było tylko piwo. Nie było wyjścia: 12-latek dostał złocisty napój. - „Tylko matce nic nie mów” - przypominał, a ja wybełkotałem: „muka”. Tata bardzo się zainteresował tym tajemniczym słówkiem. Wyjaśniłem mu, że to używane w naszej szkole słowo wytrych. Znaczy wszystko i nic. Było przydatne wówczas, kiedy nie potrafiliśmy odpowiedzieć na zadane pytanie - opowiadał Marek Bahdaj, cytowany w książce Bartka Koziczyńskiego „333 popkultowe rzeczy... PRL”.

**„Gdzie świat szeroki,
droga daleka,
pod dachem utkanym
z gwiazd”**

„Stawiam na Tolka Banana” miał swoją premierę 13 września 1973 roku, w ramach niezwykle lubianej wówczas czwartkowej audycji „Ekran z bratkiem”. Popularność serialu była tak wielka, że tuż po zakończeniu jego emisji

zdecydowano się ją powtórzyć.

No i ta muzyka! Któż z nas nie zna „Ballady o Tolku Bananie”, która, śpiewana przez bohaterów serialu (z wyjątkiem Henryka Gołębiowskiego, gdyż uznano, że nie jest muzyczny), wybrzmiewa w czołówce? Utwór jest na ustach wielu do dziś, a w latach siedemdziesiątych był obowiązkowym przebojem przy każdym ognisku i nucony podczas pieszych wędrówek. Melodię skomponował niezastąpiony Jerzy Matuszkiewicz, słowa wyszły spod pióra Adama Bahdaja, zaś nagranie przeprowadzono pod kierunkiem dyrygenta Romualda Miazgi, który, jak wspomina Filip Łobodziński, wpadł na oryginalny pomysł. - Nie mogliśmy śpiewać „Piosnki o Tolku”, tylko „Piosnka o Tol’ku”, przez miękkie „l”. I tak poszło do czołówki serialu. Pamiętam, że z Sergiuszem Lachem, tym, co grał Filipka, zwiłaliśmy się ze śmiechu z tego „Tol’ka” - wspominał Łobodziński, cytowany w wymienionej wyżej książce.

Piosenka się nie starzeje - na początku XXI wieku „Balladę o Tolku Bananie”, w uwspółcześnionej wersji, nagrały zespoły Wilki oraz Strachy na Lachy.

**„Jednak o Tolku
piosenka zostanie,
czy chcecie wierzyć,
czy nie”**

W 1973 roku twórcy serialu, czyli Stanisław Jędryka i Adam Bahdaj, odebrali Nagrodę Przewodniczącego Komitetu ds. Radia i Telewizji.

„Stawiam na Tolka Banana” spodobał się także w Związku Radzieckim, gdzie chwalono wychowawczy wydźwięk produkcji oraz doceniano jej walor psychologiczny i pedagogiczny. Jak podkreślał reżyser, na pewnym tamtejszym sympozjum serial był jedynym filmem telewizyjnym o tematyce współczesnej.

W 1995 roku Stanisław Jędryka nakręcił niemal godzinny film dokumentalny, zatytułowany „Tolek Banan i inni”. Występują w nim wszyscy żyjący wówczas ważniejsi aktorzy z serialu, zaś sam reżyser ujawnia w produkcji, że mimo upływu lat bohaterowie cyklu są wciąż dla niego jak dzieci. - Są bardzo mi bliscy. Karioka, Julek, Cegiełka, Cygan, Filipek - mówił Jędryka w filmie, który, jak twierdzi Tomasz Szczerbicki na łamach Dzieje.pl, do dziś jest najbardziej wnikliwą wivisekcją serialu, kulis jego powstawania oraz losów głównych postaci.

Postaci, które mimo upływu lat nadal pozostają w czołówce ulubionych bohaterów seriali znad Wisły.

***Śródtytuły stanowią
fragmenty „Ballady o Tolku
Bananie” (słowa: Adam
Bahdaj, muzyka: Jerzy
Matuszkiewicz)**

Dwie architektoniczne realizacje z dwóch krańców podzielonej Żelazną Kurtyną Europy dowodziły, że także inżynierskie dokonania są funkcją symbolicznej polityki państwa. A w przypadku Związku Radzieckiego przede wszystkim one.

Ówczesny październik obfitował w znaczące wydarzenia, co dodaje tej opowieści dodatkowego klimatu. Prasowe newsy z tamtego czasu pokazują, że Stany Zjednoczone żyły w ekscytacji raportem Komisji Warrena, stwierdzającym, że Lee Harvey Oswald był jedynym zabójcą prezydenta Kennedy'ego; Japonia pęczniała z dumy po otwarciu pierwszej linii superszybkiej kolei Shinkansen, zaś Hiszpanie zmagali się z traumą po śmierci 80 osób w katastrofie samolotu Douglas DC-8 w prowincji Grenada.

Inżynier Cova projektuje

Przenieśmy się do Włoch sprzed 60 lat. Autostradę Słońca, czyli drogę A1 o długości prawie 760 kilometrów, przebiegającą przez sześć regionów Włoch i łączącą Mediolan z Neapolem, zbudowano w rekordowym czasie ośmiu lat. Nic dziwnego, że stała się symbolem nowoczesności oraz gospodarczego boomu Zachodu. Miała początkowo służyć przede wszystkim temu, by ułatwić mieszkańcom południa wyjazd do pracy w fabrykach na północy, a transportowcom dostarczyć towary z północy na południe. Spełniła i wciąż spełnia propagandową rolę łącznika dwóch części Włoch - bogatszej i biedniejszej.

Pomysł podobnej autostrady pojawił się już w głowach ministrów Mussoliniego, ale Włochy zdobyły się na tę monumentalną inwestycję dopiero po wojnie. Projekt wykonał inżynier Fedele Cova, dla którego było to dzieło życia. Budowę rozpoczęto 27 maja 1956 r. od odcinka północnego. Po dwóch latach pierwsze samochody pojechały odcinkiem trasy z Mediolanu do Parmy. Kolejny oddany do użytku fragmentem autostrady był prowadzący przez Apeniny odcinek z Bolonii do Florencji. Pierwsze auta pojechały tym fragmentem 3 grudnia 1960 r.

Fiatem do Florencji

Setki kilometrów asfaltu, odgałęzienia, wiadukty i tunele nowej autostrady wywołały we Włoszech w pełni zrozumiałe poczucie dumy. Choć gazety branżowe donosiły, że w pierwszym kwartale 1964 r. nastąpił spadek sprzedanych samochodów o 13,6 proc., a rząd podniósł ceny benzyny i podatek od kupna nowych aut, motoryzacyjny entuzjizm nie gaśnie.

W salonach pojawiły się za to nowe modele, m.in. Lancia Flavia o powiększonej pojemności 1800 cm, pierwsze Lamborghini 350 GT i odkryte wersje Maserati

AUTOSTRADA SŁOŃCA VS ZDOBYWCY KOSMOSU

4 października 1964 roku to znacząca data nie tylko w dziejach architektury, ale też polityki. Tego dnia we Włoszech otwarto Autostradę Słońca, a w Moskwie Pomnik Zdobywców Kosmosu.

Mariusz Grabowski



Autostrada Słońca to droga A1 o długości prawie 760 kilometrów. Budowano ją 8 lat

3500 GTI. Naturalnie wciąż królowały Fiaty, szczególnie modele 850 i 600 w wersji Familiare, kuszące rodzinną wyprawą nowo otwartą, „rozwświetloną włoskim słońcem” - jak pisano w prospektach - trasą.

Na uroczystość otwarcia, w uroczystość świętego Franciszka z Asyżu, patrona Włoch, przybyła elita państwa, m.in. ówczesny premier Włoch Aldo Moro oraz prezydent Antonio Segni. Dzień później na łamach prasy ukazały się całostronicowe ogłoszenia wykupione przez głównego wykonawcę robót. „Wywiązaliśmy się z naszego zobowiązania. Prace ukończyliśmy przed wyznaczonym terminem” - czytali Włosi. Przemilczano, że w trakcie prac na całej długości trasy zginęło 160 robotników, o czym przypomina dziś tablica w kościele znajdującym się niedaleko zjazdu do Florencji.

Zabrakło Chruszczowa

Dziennikarze odnotowali, że w czasie przemówienia wło-



Pomnik Zdobywców Kosmosu odsłonięty w 7. rocznicę wystąpienia Sputnika 1

skiego premiera spadł krótki deszcz. Mniej więcej w tym samym czasie w Moskwie było zimno, temperatura - wynosiła 8 stopni. Ale tłum zgromadzony na terenie Ogólnorosyjskiego Centrum Wystawowego, tuż obok stacji metra na linii Kałużsko-Ryskiej, wiwatował równie gorąco. Przemawiali najważniejsi radzieccy dygnitarze, ale towarzyszył Nikita Chruszczow nie. Zapewne wiedział już, że za kilka dni straci władzę, zastąpiony przez tow. Leonida Breżniewa.

Chruszczow jest o tyle ważny w tej historii, że to ponoć w jego otoczeniu zrodził się pomysł upamiętnienia sowieckiej myśli kosmonautycznej. W marcu 1958 roku, kilka miesięcy po wystrzeleniu pierwszego sztucznego satelity, ogłoszono konkurs na najlepszy projekt obelisku ku czci zdobywców kosmosu. Z ponad 350 propozycji wybrano wspólny projekt rzeźbiarza A. P. Fajdysz-Krandiewskiego i architektów: A. N. Kolczina i M. O. Barszcza. Uroczyste odsłonięcie Pomnika Zdobywców Kosmosu odbyło się dokładnie w siódmą rocznicę wystąpienia Sputnika.

Wymiary i forma pomnika budzą podziw do dziś. Podstawową jego część stanowi pokryty lśnącymi tytanowymi panelami obelisk o wysokości 107 metrów, przedstawiający smugę pozostawioną przez rakietę znajdującą się na jego szczycie. Przed pomnikiem umieszczono posąg Konstantina Ciołkowskiego, teoretyka radzieckiej kosmonautyki, który nie tylko podał wzór opisujący zależność między prędkością rakiety a jej masą i prędkością gazów wylotowych, ale w 1929 r. opracował teorię ruchu rakiet wielostopniowych w ziemskim polu grawitacyjnym.

Z satelitą w dłoni

Znawcy nauki radzieckiej dowodzą, że moskiewski Pomnik Zdobywców Kosmosu wcale nie był tym pionierskim. Wcześniej bowiem, bo już w 1958 roku, w dzielnicy Mieszczański, u wyjścia ze stacji metra Riżska, stanął Pomnik Pierwszego Satelity.

Z punktu widzenia estetycznego to monument dość kontrowersyjny, ale ideologicznie wykazuje wszelkie cechy imperialnej symboliki ZSRR. Rzeźba przedstawia bowiem muskularnego robotnika, który wznosi ku górze rękę, trzymając w dłoni pierwszego satelitę - Sputnik 1. Na cokole pomnika umieszczono napis: „Twórcom pierwszego sztucznego satelity Ziemi, 1957 roku”. Rzeźbę wykonano z brązu, jej wysokość wraz z cokołem wynosi około 7 metrów. Jej replika znajduje się w Rostowie nad Donem.

Dodajmy, że upamiętnienie sputnika nie jest przypadkiem. Jego wyniesienie na orbitę stało się bowiem początkiem wyścigu kosmicznego między ZSRR a USA. Sputnik 1 stał się pierwszym ludzkim wytworem, który osiągnął orbitę okołozemską.

Satelita krążył wokół Ziemi dokładnie 92 doby; 4 stycznia 1958 roku wszedł w gęste warstwy atmosfery i uległ zniszczeniu.

„Łunochod” cieszy oko

Wróćmy do Zdobywców Kosmosu. Z czasem władze radzieckie uznały najwyraźniej, że sam monument nie wystarczy w walce ideologicznej i w 1981 r., w styłobacie, czyli podstawie pomnika, urządzono Muzeum Kosmonautyki. Wśród eksponatów muzeum znalazły się pamiątki po kosmonautach, ich skafandry i przedmioty, którymi posługiwali się w czasie podróży w kosmos, a także makiety rosyjskich pojazdów kosmicznych - w sumie ponad 85 tysięcy różnych przedmiotów z wystawami historii lotów, astronomii i technologii kosmicznej.

Do najciekawszych pamiątek należą m.in. oryginalna komora wyrzutowa z 1960 r., która odbyła lot na orbitę z dwoma psami o imionach Biełka i Strielka, które jako pierwsze wróciły po takim locie żywe oraz w dobrej kondycji. Nadto oryginalny ładownik statku kosmicznego Sojuz-37 z 1980 r. i znany nam już duplikat pierwszego sztucznego satelity Ziemi, którego wystrzelono w 1957 r. Znalazła się tutaj także makietka modułu zstępującego statku kosmicznego Wostok w skali 1:1, w którym Jurij Gagarin odbył swój pierwszy lot w kosmos. Szczególnym zainteresowaniem zwiedzających cieszy się łazik „Łunochod”.

Spuścizna epoki

Można powiedzieć, że październik 1964 roku przyniósł światu dwa przykłady ludzkiej kreatywności. Włosi zbudowali autostradę, która do dziś jest najdłuższą biegnącą południkowo autostradą we Włoszech, liczącą 760 km. Przejazd autostradą jest dziś płatny, a jej eksploatacją zajmuje się największy na Półwyspie Apenińskim operator autostrad - spółka „Autostrade Per l'Italia S.p.A.”. Związek Radziecki też skorzystał, choć monumentalny pomnik odegrał rolę bardziej w dziedzinie ideologii - przez dziesięciolecia był symbolem potęgi ZSRR w kosmosie i najwyraźniej obecne władze nie rezygnują z tego konceptu.

W 2006 roku w pobliżu pomnika wytyczono okrągły plac z wyobrażeniami architektonicznymi planet Układu Słonecznego i pomnikiem Siergieja Korolowa. Nie znalazł się tam przypadkowo: był m.in. głównym konstruktorem radzieckiego programu kosmicznego, odpowiedzialnym za jego największe sukcesy, w tym wystrzelenie załogowanego statku kosmicznego Wostok. To pod jego kierownictwem rozpoczęto prace nad serią misji mających prowadzić do lądowania na Księżycu i jeszcze bardziej ambitnych programów lotów do Marsa i Wenus.

Leszek Waligóra

CHLALIŚMY, CHLEJEMY
I CHŁAĆ BĘDZIEMY

O

ficznie: nie jest tak źle. Co prawda wypijamy średnio troszkę poniżej 12 litrów czystego alkoholu rocznie, ale Europejczycy (i światowi) liderzy, czyli Łotysze i Austriacy - już ponad 12. Z badań OECD wynika, że najmniej pije się w Indonezji. Praktycznie: wcale. Ale muzułmanie nie piją. Złą wiadomością dla Polski i pijaństwa jest to, że większość badań picia oparta jest na sondażach, na dodatek takich robionych 3-4 lata temu. A jeśli Polska od tego czasu nie rozpiła się bardziej, to tu mi jedzie czołg.

Badania nie są oparte na danych sprzedażowych, a te wskazują, że prowadzący sondaże nie pytają o zdanie miłośników małpek, których każdego dnia sprzedaje się w Polsce milion... przed południem, nie pytają też miłośników piwa - a ci dziennie, w sezonie, kupują ponad 9 milionów puszek i butelek. Przyznam, nie sprawdzałem, ile dziennie sprzedaje się w Polsce wódek, likierów, brandy, whisky, spirytusu, tequili, czy co tam jeszcze przemysł spirytusowy, poza tubkami z alkoholem, wymyślił. Z niejakim zdziwieniem zauważyłem, że roczna sprzedaż samych win musujących to ponad miliard złotych. I rośnie. Podobnie jak sprzedaż - i produkcja - samych win. Bo się tacy kulturalni robimy, że cabernet do obiadu jest popularniejszy od samogonu. Przeprowadzający badanie polskiego picia nie zestawili deklaracji ze sprzedażą, bo to by pokazało, że sondowani na okoliczność pijaństwa Polacy, kłamią jak przyłapani na rauszu posłowie. Oni też z reguły: chuchają 2 promile, a mówią, że to po łyku syropu na kaszel. Kłamią też najprawdopodobniej Polki, które - według deklaracji - piją 4 razy mniej niż mężczyźni. Najwidoczniej nie kłamią nastolatki, które deklarują, że co piąty nabzdrygnął się przed osiągnięciem 15. roku życia.

I co? I nic. Polska racja stanu oficjalnie zwalcza, a przynajmniej zapobiega przepiciu Polaków. Ale polska racja stanu mówi też, żeby za bardzo nie krzywdzić produkcji i sprzedaży alkoholu, bo to ważna gałąź gospodarki. W końcu każda flaszką jest opodatkowana znacznie bardziej niż sztabka złota. Ale spójrzcie... przeciętny Szwed pije dużo mniej niż Polak, Szwecja jest objęta częściową prohibicją, a jednocześnie, o zgrozo, jest największym producentem wódki na świecie. Przed Polską i... Francją. Można? Można.

Zamachem na polską wolność byłby zakaz picia. I wyrośnie mi paprotka na czole, jeśli jakikolwiek rząd taki zakaz wprowadzi. Po pierwsze: długo by nie porządził. Po drugie: politycy też chleją. Kultura picia jest wielka. Nie ma w Polsce oficjalnych, politycznych czy biznesowych spotkań bez picia. Ingvar Kamprad, nieżyjący już twórca Ikei, mówił, że zawieranie w Polsce kontraktów na drewno i meble zrobiło z niego alkoholika. A historia polskich polityków objętych chorobą filipińską jest długa jak „Moda na sukces”.

Z dorosłymi nie da się już nic zrobić. Piliśmy, pijemy, pić będziemy. Będziemy chorować na marskość wątroby, wrzody żołądka, częściej będziemy zapadać na raka, część z nas zginie w wypadkach, które spowodujemy sami po pijaku lub spowodują inni na rauszu. Z powodu alkoholu będziemy tracić pracę, domy, będą się rozpadać nasze rodziny, a nasze dzieci będą się rodzić z syndromem alkoholowym. Lekarze mówiący nam: proszę ograniczyć picie - sami będą pić.

Z tym nic się nie da zrobić. Można by - z następnymi pokoleniami. Przez dobrą, przemyślaną edukację, pokazującą, jaką demolkę robi z nami alkohol, nikotyna, dopalacze, narkotyki, hazard i inne uzależnienia. Ale jej nie ma. Przez dziesięciolecia nie dorobiliśmy się sensownej edukacji seksualnej, więc dzieciaki nadal zachodzą w ciążę. O uzależnieniach - powiedziano im tylko, że są be, więc młodzi, jak to młodzi, chcą spróbować tego, czemu z taką przyjemnością oddają się starzy. Od chlania, ćpania, palenia, po jakże przyjemny hazard, wyzierający z koszułek bohaterów narodowej sportowej wyobraźni.

Adam Bula

MUS Z MÓZGU
W SASZETKACH

G

dyby tak się na zimno zastanowił, to premier RP (wspierany przez

Marszałka Sejmu RP) uruchomił cały aparat państwa w interesie lobby producentów alkoholowych małpek, zagrożonych konkurencją innowacyjnych producentów alkoholowych saszetek.

Trochę mnie niepokoi też, że człowiek, który napisał wiele poczytnych książek dla katolickiej publiczności, dostrzegł wreszcie „zło w czystej postaci” na sklepowej półce. To o czym były tamte książki? O księgarniach? Choć przynajmniej Szymon Hołownia w swej odezwie zapowiadał tylko bojkot konsumencki. Chwilę później premier Tusk zapewnił już jednak, że „postawił na baczność wszystkich urzędników”, bo „ten numer u nas nie przejdzie”. Choć dziwnie zrobiło się dopiero, kiedy wysłał Czesława do roboty.

Rozpiszę to, że względu na urodę zdarzenia. Albowiem dokładny cytat z premiera: „Czesław, jeśli mogę cię prosić, pojedź do resortu i zajmij się tym problemem” ma kultowy potencjał. Bohater, który za kilka lat zniknie pewnie w pomroce dziejów, to minister rolnictwa Czesław Siekierski, który na transmitowanej części posiedzenia rządu (01.10) został odesłany tymi słowami. I one z nami już pozostaną.

Oczywiście, premier i marszałek nie działają tu w interesie jakiegokolwiek lobby, tylko w trosce o los naszych dzieci. Bo jakaś firma wymyśliła, że będzie sprzedawać alkohol w saszetkach, w jakich sprzedaje się owocowe musy, „konsumowane głównie przez dzieci i młodzież”.

Pierwszy więc odruch oburzenia to sam pomysł mieszania musu z alkoholem. W pełni - to słowo zostanie już z nami - legalny. I nie do końca jasny: bo właściwie w czym robienie wódki z musem morelowym ma być gorsze od robienia wódki z chemicznym posmakiem moreli, jaką się wlewa do „małpek”. No ale te saszetki z wódką są pakowane tak, że wyglądają prawie tak samo jak te odżywcze musy dla dzieci. I przez to dzieci mogą to wypić (czy też zjeść?) - przez pomyłkę rodziców. A firma tak zrobiła specjalnie, by pociechy nasze w nieszczęście albo i bezpośrednie zagrożenie życia wpędzać dla niecnego zysku.

Co do zysku - zgoda. Ale zaraz. Jaką pomyłkę? Jakie niechcący? To akurat, jak i komu się sprzedaje alkohol w sklepie, jest przepisowane pod sufit. Więc saszetki z wódkowym musem nie mogą leżeć ze „zdrowymi” saszetkami. I nie mogą być sprzedawane nieletnim.

W ciągu doby od uruchomienia akcji państwa w obronie dzieci, firma od „alkotubek” złożyła samokrytykę i ogłosiła, że wycofuje ze sklepów pilotażowo wprowadzony produkt. Jedna 80-letnia babcia kupiła już jednak omyłkowo alkotubkę dla 16-miesięcznej wnusi, o czym opinię publiczną poinformowała zatrwożona mama.

Ja też jestem zatrwożony. Bo jeśli całą tę sytuację rozważać na trzeźwo, to musimy też wziąć pod uwagę argumentację producenta: „Dzieci mogą też omyłkowo wypić szampon, ketchup czy musztardę oraz środki chemiczne pakowane w saszetki”. Tyle pracy przed rządem...

Albo co powiecie na to: jak wyczytałam (rynek zdrowia.pl), za moment Allegro ma wprowadzić możliwość zakupu alkoholu przez internet. I tu najlepsze w temacie groźnych pomyłek: „kurier będzie miał za zadanie zweryfikować tożsamość, trzeźwość oraz pełnoletność kupującego”.

Pamiętacie naszą babcię: 80 lat. A wnusia: 16 miesięcy. Na pewno nic Wam tu nie zgrzyta?

Chodzi mi o to, że mnie się pomysł z alkotubkami też nie podoba. Ale znacznie bardziej nie podoba mi się traktowanie mnie jak dumia przez państwo jak z Monty Pythona. Przepisy zwykle nie nadążają za życiem, ale my nie nadążamy za niczym. Dziennie wypijamy (raport Nielsena) 16 milionów puszek piwa. Można napisać książkę o tym, jak lobby piwnemu udaje się utrzymać od lat akcyzę na piwo wyraźnie niższą niż ta na alkohol. Albo dla czego nikomu nie przeszkadzają promocje w dyskontach w stylu: kup 20 piw, drugie 20 za darmo.

Dziennie wypijamy też 1,4 mln małpek, buteleczek ze 100 i 200 ml wódki. Historia nieskutecznej walki państwa z tą plagą to już epepeja. A cukierki z alkoholem na półkach ze słodyczami. Co tam zresztą cukierki? - robią jeszcze gumy-papierosy?

A może poczęstujecie się tym: „Lubelska lufka owocówka”, wódka 30 %, sprzedawana w „poręcznych” plastikowych kubeczkach, do złudzenia przypominających opakowania smakowych galaretek, „konsumowanych przez nasze dzieci i młodzież”. Wprowadzona na rynek „promocyjnie” w wakacje 2015 roku.

Jesteście pewni, że żadna babcia się wtedy „dla wnusi” z tymi galaretkami nie pomyliła...

Stawniak: kinu oality nunktak rodan

Czarni ze Spójnią na otwarcie

Michał Piątkowski
michal.piatkowski@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. **Energa Icon Sea Czarni Słupsk już 6 października rozpocznie ligowe zmagania. Pierwszym przeciwnikiem ekipy Mantasa Cesnauskisa będzie stargardzka Spójnia.**

Początek meczu już w niedzielę (6 października) o godzinie 17.30 w słupskiej hali Gryfia.

Co ciekawe identyczna inauguracja sezonu miała miejsce rok temu. Pewne jednak jest, że słupscy kibice z całą pewnością nie chcieliby wracać wspomnieniami do tego spotkania. Goście ze Stargardu rozbili wtedy słupszczan na ich parkiecie 81 do 61. Kolejny raz lepsi okazali się też w rewanżu, kiedy Czarni po raz drugi musieli uznać wyższość swoich rywali i przegrali w Stargardzie 65:77. Mecz będzie miał też kilka dodatkowych smaczków. W brawach Czarnych wystąpi przecież Alex Stain, który w poprzednim sezonie był jednym z najważniejszych graczy klubu ze Stargardu. Na ławce trenerskiej Spójni zasiądzie natomiast Andrej Urlep, którego kibice ze Słupska pamiętają z prowadzenia swojego zespołu z przeszłych występów w ekstraklasie.

Skład Czarnych

Zostali w składzie: Mateusz Dziemba, Nikodem Klocek, Daniel Słomczyński, Michał Kozioł, Jakub Wasilewski, Szymon Tomczak

Nowi zawodnicy: Loren Jackson, Alex Stein, Jakub Musiał, Quincy Ford, Nikodem Czoska, Michał Nowakowski, Jamelle Hagins

Od najbliższego sezonu w ORLEN Basket Lidze zobaczymy znany z NBA i Euroligi system play-in! To oznacza, że walka o play-off będzie jeszcze ciekawsza. Play-in to nic innego jak dodatkowe spotkania o awans do fazy play-off. Nic nie zmienia się dla najlepszych sześciu drużyn sezonu zasadniczego - one będą miały zagwarantowany ćwierćfinał ORLEN Basket Ligi. Ekipy z miejsc 7-10 powalczą jednak w nowym formacie. Drużyna, która zajmie siódme miejsce po sezonie zasadniczym rozegra dodatkowe spotkanie z ekipą z ósmej lokaty. Zwycięzca tej pary zapewnia sobie awans do play-off. Przegrany walczy dalej! Dodatkowy mecz dotyczyć będzie też pary złożonej z drużyn z dziewiątego i dziesiątego miejsca. Zwycięzca zagra jeszcze jedno, decydujące o awansie do play-off spotkanie - właśnie z ekipą, która przegrała rywalizację drużyn z miejsc 7-8.

Bilety na mecz Polek są już w sprzedaży. Padnie rekord?

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Kobięca piłkarska reprezentacja Polski oraz Ewa Pajor wracają do Gdańska, bo stadion Polsat Plus Arena został nowym domem drużyny narodowej.

Już w październiku Białe-Czerwone zagrają z Rumunią w półfinale barałów o awans na mistrzostwa Europy. Celem będzie też pobicie rekordu frekwencji na piłkarskim meczu kobiet w Polsce.

17 września 2021 roku kobięca reprezentacja Polski zagrała pierwszy raz na stadionie w Letnicy. Białe-Czerwone zagrały z wyżej notowaną drużyną Belgii, a po interesującym spotkaniu padł remis 1:1 w eliminacjach mistrzostw świata. Polki pokazały się wtedy z naprawdę dobrej strony, a jedyne gola strzeliła Ewa Pajor.

Teraz najlepsza polska piłkarka i zawodniczka słynnej Barcelony będzie częściej grać na stadionie Polsat Plus Arena, na którym kobięca drużyna na-



FOT. KAROLINA MISZTAŁ

Ewa Pajor znowu będzie zachwycać kibiców na stadionie w Gdańsku

rodowa będzie rozgrywać swoje mecze w roli gospodarza.

- Teraz każdy kibice będzie wiedział, gdzie jechać na mecz kadry. Wszystkie drogi prowadzą do Gdańska - mówiła Nina Patalon, selekcjonerka kobiecej reprezentacji Polski.

W październiku Białe-Czerwone czeka półfinałowa rywa-

lizacja z Rumunią w barałach o awans na mistrzostwa Europy. Turniej finałowy odbędzie się w przyszłym roku w Szwajcarii, a na takiej imprezie nasza drużyna narodowa jeszcze nigdy nie grała. 25 października pierwszy mecz Polki zagrają na wyjeździe, a rewanż na stadionie Polsat Plus Arena Gdańsk rozegrany zostanie 29

października o godz. 18. Celem jest oczywiście awans do finałów barałów, w których rywalem będzie zespół Austrii lub Słowenii. Drugi cel to pobicie rekordu frekwencji na piłkarskim meczu kobiet w Polsce, który wynosi 8011 widzów i został ustanowiony właśnie podczas wspomnianego spotkania z Belgią na stadionie w Letnicy.

- Granie przed pełnymi trybunami da nam nieopisane wsparcie - mówi Ewa Pajor, kapitanka reprezentacji Polski. - Obecność kibiców na stadionie to dodatkowa motywacja, która pozwala nam dawać z siebie wszystko. Czuć energię płynącą z trybun to coś, co trudno opisać słowami. To kibice, dodają nam skrzydeł. Dlatego chcemy wspólnie z nimi napisać nowy rozdział w historii kobiecego futbolu w Polsce.

Warto wybrać się na meczu z Rumunią, aby wspierać nasze piłkarki gorącym dopingiem, a także wziąć udział w biciu rekordu frekwencji. Bilety są już dostępne w sprzedaży online, a można je nabywać przez stronę bilety.laczynaspilka.pl. ©

0011180735

Pani Irenie Guzow
składamy wyrazy szczerzego współczucia
z powodu śmierci

Córki

Rada Nadzorcza, Zarząd oraz pracownicy
KWSP „Społem” w Malborku

REKLAMA

0010985611

Nekrologi i kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku
w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń,
Gdańsk, Połęż 3, tel. 58/300 32 11
- drogą mailową: **nekrologi@prasa.gda.pl**
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń
ibo.polskapress.pl
- w zakładach pogrzebowych
współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
 - PPU Zielen, Gdańsk, Partyzantów 76
www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73**
 - ZDiZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31
tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl**
 - Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni
ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl**

nekrologi.net

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłacić kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń - **Gdańsk**, Połęż 3, tel. 58/3003 211

Nieruchomości

DOMY - KUPIĘ

KUPIĘ nieruchomości, również
zadłużone, za gotówkę, 518-878-010

GARAŻE

GARAŻE blaszane, bramy garażowe,
kocje dla psów. Transport, montaż
gratis. Raty, www.konstal-garaze.pl,
55/621-23-38, 58/500-53-46,
512-853-323

Motoryzacja

SAMOCHODY OSOBOWE - KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone
kupię zaniedbane powyypadkowe.
Najlepiej płacimy, całe pomorskie
514-514-610

Praca

ZATRUDNIĘ

NIEMCY, cieśla, murarz, malarz, hydr.,
spaw., tokarz CMC, ślus. el. 601218955

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

A do Z awarie dach, blachy, kominy,
papy, rynny, malowanie, 517-744-487

CEKOL, kompleks. remonty 505449248

ODNAWIANIE wanien, 600-979-826

**Sufity Podwieszane: Napinane,
Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe,
Ścianki Gipsowe "Sufitex"
604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl**

ŻALUZJE. Rolety 501-005-692

KOMPUTEROWE

**Laptopy, Komputery SERWIS
Tanio, Dojazd, tel. 505-558-579**

NAPRAWA drukarek, notebooków,
laptopów, monitorów, UPS-ów, faxów,
zasilaczy, niszczarek, Pruszcz Gdański,
(58)683-04-04, 501-785-500

INNE

TRUDNE kredyty? Zadzwoń - Prawnik
784 633 042

Turystyka

KRAJ

GÓRY

**Beskidy, turnus w Październiku
1050 zł, w górach koło Wadowic,
tel.: 517-958-006.**

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KOKOSZKI odchowane Rosa 1: 14-tyg.
odbiór 23.09.2024. 16-tyg. odbiór
07.10.2024. Możliwość dowozu, S.F.
Hajduk Rudno, 668-806-394

KURKI nioski dowóz 669765170

Matrymonialne

BIURO "Serduska Dwa" 883-783-782

Różne

POSZUKIWANE są osoby, których
wizerunek jest widoczny w materiale
audiowizualnym produkcji Telewizji
Polskiej S.A. (w likwidacji) pt.
„W służbie sportu i społeczeństwa”
(scenariusz i realizacja Jerzy Budny,
rok produkcji 1969r.) emitowanym
przed 1989 rokiem.
„Pamiętnik Mexico '68” emitowanym
przed 1989 rokiem.
Prosimy o kontakt za pośrednictwem
e-mail archiwalia1968@gmail.com

STARE książki- skup 881-934-948

nasza
HISTORIA

Nigdy się nie powtarza

naszahistoria.pl



czytaj



PIŁKA NOŻNA SKORUPSKI I URBAŃSKI POLEGLI NA ANFIELD, UDANY DEBIUT SKÓRASIA I FOTEL LIDERA PISZCZKA

Niespodzianki w Lidze Mistrzów

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl**W 2. kolejce Ligi Mistrzów sypnęło niespodziankami. Wystąpiło też kilku naszych reprezentantów, których szczęście było zmienne.**

Aston Villa Birmingham, która w 1. kolejce Ligi Mistrzów pokonała na wyjeździe Young Boys Berno 3:0, rozgrywała pierwszy od 1982 roku mecz przed własną publicznością w Pucharze Europy z Bayernem Monachium.

Oglądający ten mecz z ławki rezerwowych gospodarzy Matty Cash i Oliwier Zych mieli powody do zadowolenia, bo niepokonany w tym sezonie Bayern w końcu poległ 0:1. Bawarczyści w 1. kolejce rozgromili Dinamo Zagrzeb 9:2, ale w tabeli już nie prowadzą.

Nie zachwycił także inny faworyt, Real Madryt, rekordzista pod względem triumfów w Champions League, który przegrał z Lille 0:1. Wcześniej Real, który broni trofeum, był

niepokonany w 36 z rzędu meczach o stawkę, w tym 14 w Lidze Mistrzów.

Jeszcze bardziej załamaną może być lokalny rywal Realu, Atletico Madryt, z którym „Królewscy” grali w derbach w niedzielę (1:1). Podopieczni argentyńskiego trenera Diego Simone ponieśli jedną z najwyższych porażek w ostatnich latach – na wyjeździe z Benficą Lizbona 0:4.

Bardzo trudny wieczór, ale ze szczęśliwym zakończeniem, miał Juventus Turyn, w którego kadrze wciąż brakuje kontuzjowanego Arkadiusza Milika (w środę Polak przeszedł kolejną artroskopię kolana). Choć „Bianconeri” dwukrotnie przegrywali i przez ostatnie pół godziny grali w osłabieniu, zdołali doprowadzić do zwycięstwa 3:2 i wywieźć z Lipska 3 punkty. RB, który pozostaje z zerowym dorobkiem punktowym, może mieć poczucie straconej szansy.

W Lidze Mistrzów zadebiutował w środę Michał Skórasiński. Piłkarz FC Brugge grał od początku drugiej połowy wyjazdowego meczu ze Sturmem Graz w Klagenfurcie, gdzie goście zwyciężyli 1:0.



Polski bramkarz Bolonii Łukasz Skorupski puścił dwa gole na Anfield w meczu z Liverpooliem (0:2) w drugiej kolejce Ligi Mistrzów

Mniej powodów do zadowolenia mieli bramkarz Łukasz Skorupski i pomocnik Kacper Urbański, którzy z Bolonią

przegrali na Anfield z Liverpooliem 0:2.

Dinamo Zagrzeb było bliskie zrehabilitowania się za klęskę z Bayernem 2:9. W stolicy Chorwacji gospodarze prowadzili z AS Monaco 2:0, ale ostatecz-

nie tylko zremisowali 2:2, tracąc bramkę po karnym w 90. minucie i znanego z Lecha Poznania trenera Nenada Bjelicę, który za nerwowe reakcje oberwał dwie żółte i w konsekwencji czerwoną kartkę. W Monaco

rezerwowym bramkarzem był Radosław Majecki.

Szachtar Donieck, w roli gospodarza na stadionie Schalke w Gelsenkirchen, przegrał z triumfotorem Ligi Europy Atalantą Bergamo 0:3. Girona uległa przed własną publicznością Feyenoordowi Rotterdam 2:3. Oba zespoły zmarnowały po jednym rzucie karnym.

We wtorek swoje spotkania wygrały m.in. ekipy Roberta Lewandowskiego (a od środy także Wojciecha Szczęsnego) – Barcelona, Piotra Zielińskiego – Inter Mediolan i Jakuba Kiwiora – Arsenal Londyn. „Lewy” zdobył dla Barcy dwie bramki.

Na czele tabeli jest Borussia Dortmund, która we wtorek, z bramkarzem Marcelm Lotką na ławce rezerwowych oraz Łukaszem Piszczkiem w roli asystenta trenera, pokonała Celtic Glasgow Maika Nawrockiego 7:1. Po sześć punktów mają też debiutujący w europejskich pucharach Brest, Benfica, Bayer Leverkusen, Liverpool, Aston Villa oraz Juventus.

©

„Piłkarskie Orły”. Wrzesień dla Czubaka

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl**Karol Czubak z Arki Gdynia wygrał ranking „Piłkarskich Orłów” na Pomorzu we wrześniu.**

Najlepszy strzelec Żółto-Niebieskich zdobył w poprzednim miesiącu cztery gole i to wystarczyło mu do zdecydowanego sukcesu. Czubak już nie pierwszy raz triumfował w pomorskim rankingu „Piłkarskich Orłów”.

Bramki strzelane przez Karola dały drużynie z Gdyni bardzo ważne punkty i pozwoliły doskoczyć do czołówki w tabeli Betcliu 1. Ligi. Żółto-Niebiescy nie ukrywają, że ich celem jest awans do PKO Ekstraklasy, więc gole Karola Czubaka będą zespołowi bardzo potrzebne. Dla Arki to jest niewątpliwie kluczowy zawodnik, który pre-

zentuje świetną skuteczność i daje na boisku piłkarską jakość.

Czubak imponuje skutecznością i widać, że aktualnie znajduje się w naprawdę dobrej dyspozycji. Arka może na niego liczyć, a Karol w takiej formie powinien liczyć się w naszym rankingu także w kolejnych miesiącach. Zresztą ma dobre wsparcie ze strony Szymona Sobczaka, który strzelił trzy bramki i uplasował się na piątej pozycji we wrześniowej klasyfikacji „Piłkarskich Orłów” na Pomorzu.

Drugie miejsce dla zawodnika z czwartej ligi. To Filip Sosnowski, który we wrześniu strzelił aż osiem goli na Wiekę Luzino. To było jednak zbyt mało, aby myśleć o wygraniu rywalizacji z Czubakiem, z którym ostatecznie przegrał o 2,25 punktu. Na trzeciej pozycji uplasował się Marcin Kozina

Piłkarskie ORŁY '24					
NAJLEPSI STRZELCY WRZESNIA					
POMORZE					
MIEJSCE	ZAWODNIK	LICZBA BAMEK	KLUB	LIGA	PUNKTY ŁĄCZNIE
1	KAROL CZUBAK	4	ARKA GDYNIA	I	7,25
2	FILIP SOSNOWSKI	8	WIKĘD LUZINO	IV	6,00
3	MARCIN KOZINA	4	CHOJNICZANKA CHOJNICE	Puchar Polski	4,75
4	BOHDAN WIJUNYK	2	LECHA GDAŃSK	Ekstraklasa	4,00
5	SZYMON SOBCHAK	2	ARKA GDYNIA	I	3,50
6	BENIAMIN CZAŁKA	2	CHOJNICZANKA CHOJNICE	II	3,00
6	VALERIJS SABALA	2	CHOJNICZANKA CHOJNICE	II	3,00
8	BARTOSZ ZALEWSKI	4	CZARNI PRUSZCZ GDAŃSKI	IV	2,50
8	HIERONIM GIERSEWSKI	4	WIEKZYCA PELPLIN	IV	2,50
8	IGOR JANKOWSKI	4	BALTYK GDYNIA	IV	2,50
8	MATEUSZ BOROWSKI	4	GROM NOWY STAW	IV	2,50

z Chojniczanki, zdobywca czterech bramek. Dopiero na czwartym miejscu we wrześniu, a więc tuż za podium, znalazł się jedyny przedstawiciel z PKO Ekstraklasy, czyli Bohdan Wjunnyk. Napastnik Lechii Gdańsk strzelił dwa gole w poprzednim miesiącu.

A jak drużyna z Chojniczki zacznie rywalizację w drugiej lidze w październiku? Zagra na wyjeździe z ostatnią w tabeli Skrą Częstochowa, która zdobyła w tym sezonie tylko dwa punkty, więc to będzie okazja dla zawodników ofensywnych, żeby pokazać swoje możliwości i umiejętności. Mecz Chojniczanki ze Skrą w Częstochowie rozegrany zostanie dziś o godz. 18.

We wrześniowym rankingu „Piłkarskich Orłów” nie błysnęli zawodnicy z trzeciej ligi. Może lepiej spiszą się w październiku. Przed pomor-

skimi trzecioligowcami jedyną kolejką ligową. Gryf Słupsk podejmie Kotwicę Kórnik, a mecz rozpocznie się dziś o godz. 19.46. Drużynę Gedanii Gdańsk czeka wyjazdowe spotkanie z Unią Swarzędz, a jego początek w sobotę o godz. 13. Wreszcie Cartusia Kartuzy zmierzy się u siebie z rezerwami Pogoni Szczecin. Ten mecz rozpocznie się w niedzielę o godz. 13.

Celem rankingu jest wyłonienie oraz nagrodzenie najlepszych strzelców piłkarskich biorąc pod uwagę gole zdobyte na poziomie: ekstraklasy/ekstraligi, I, II, III, IV ligi oraz w Pucharze Polski, a także w europejskich pucharach. Przypominamy współczynniki: dla ekstraklasy/ekstraligi - wynosi 2; dla I ligi - 1,75; dla II ligi - 1,5; dla III ligi - 1; dla IV ligi - 0,625; dla Pucharu Polski - 2; dla europejskich pucharów - 2,5. ©



RANKING

PATRONAT
HONOROWYPARTNER
MERYTORYCZNY

SPORT

www.sportowy24.pl

PIŁKA NOŻNA

W weekend mecze rozegra czwarta liga piłki nożnej na Pomorzu.

Program meczów 10 kolejki IV ligi na Pomorzu: Wikęd Lu-zino - Stolem Gniewino (sobota, godz. 14), Chojniczanka II Chojnice - Sparta Syce-wice (sobota, godz. 14), Radunia Stężyca - KP Staro-

gard Gdański (sobota, godz. 11), Anioły Garczegorze - Jaguar Gdański (sobota, godz. 11), Gryf Wejherowo - Kolej- jarz Chojnice (sobota, godz. 16), Bytovia Bytów - Bałtyk Gdynia (sobota, godz. 16),

Czarni Pruszcz Gdański - Wierzyca Pelplin (sobota, godz. 12), Pogoń Lębork - Grom Nowy Staw - zakończ- czył się po zamknięciu wy- dania, Pomezania Malbork - Supra Kwidzyn 2:1. (stan)

PIŁKA NOŻNA

Pomorskie futbolistki zagra- ją mecze 8 kolejki.

Program w Orlenie Ekstrali- dzie kobiet: Resovia - AP Orlen Gdański (6.10, godz. 12), Stomilanki Olsztyn - Po- goń Dekpol Tczew (6.10, godz. 16.30). (stan)

Lechia bez jakościowych zmienników przegrywa końcówki. Wygrać mecz ze Stalą!

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Lechia Gdańsk znajduje się tuż nad strefą spadkową z PKO Ekstraklasy, ale przewaga wynosi jeden punkt. Śląsk Wrocław i Stal Mielec mają zaległe mecze do rozegrania.

Dla zespołu Biało-Zielonych kluczowa jest 70 minuta. Wtedy coś zaczyna się w grze a, rywale strzelają bramki i zabierają drużynie Gdańska punkty sprzed nosa.

Przykłady? Na inaugurację sezonu Lechia zremisowała we Wrocławiu ze Śląskiem 1:1 tracąc gola w drugiej minucie doliczonego czasu gry. To był tylko początek. Kolejne sytuacje się powtarzały: z Motorem Lublin 0:2 (w 70 minucie 0:0), z Zagłębiem Lubin 1:1 (do 76 minuty 1:0), z Rakowem Częstochowa 1:2 (do 87 minuty 1:0), z Jagiellonią Białystok 2:3 (do 72 minuty 2:1) i z Widzewem Łódź 1:1 (do 74 minuty 1:0). W ten zespół Biało-Zieloni stracili aż 13 punktów, czyli więcej niż zdo-

byli od początku sezonu. Gdyby Lechia potrafiła utrzymać wyniki do końca tych spotkań, to dziś byłaby wiceliderem PKO Ekstraklasy, a nie drżała o utrzymanie w krajowej elicie.

Prawda jest taka, że nie da się rozegrać całej rundy jednym składem i to jeszcze ograniczonym chociażby przez kontuzje Tomasa Bobceka, Tomasza Wójtowicza, Maksyma Chałania, Rifeta Kapicia, Louisa D'Arrigo czy ostatnio Camilo Meny oraz przy stracie Luisa Fernandez. Trener Szymon Grabowski ma bardzo skromne pole manewru i musi wybierać, czy wpuścić na boisko z ławki Kacpra Sezonienkę, Serhija Bułecę, Loupa-Diwana Gueho czy Miłosza Kałahura. Ewidentnie brakuje jakości wśród rezerwowych, a to już wina zarządu Lechii czy prezesem Paolo Urferem na czele, że nie potrafili zadbać o odpowiednią kadrę do gry w PKO Ekstraklasie. Na to oczywiście ma wpływ brak pieniędzy, bo bez nich nie uda się sprowadzić bardziej jakościowych piłkarzy. Absurdalne są



Piłkarze Lechii Gdańsk liczą na to, że będą mieć powody do radości w Mielcu po strzelanych golach drużynie Stali

zarzuty o zmiany w trakcie meczów pod adresem trenera Grabowskiego, bo pole manewru jest bardzo niewielkie, żeby drużyna przy korektach w składzie nie straciła na jakości.

Warto zobaczyć jak to wyglądało u rywali. Dla Śląska wyrównującego gola strzelił wprowadzony w drugiej połowie Tommaso Guercio, dla Zagłębia także rezerwowy Vaclav Sejk,

drużynie Rakowa zwycięstwo w Gdańsku dał także z rezerwy Jonatan Braut Brunes, a w Białymstoku wyrównującego gola dla Jagiellonii strzelił po wejściu na boisko Jesus Imaz. A jak

to wyglądało w Lechii w tym sezonie? Karl Wendt jest jedynym zawodnikiem, który strzelił gola po wejściu na boisko z ławki rezerwowych i miało to miejsce w przegranym, spotkaniu w Poznaniu z Lechem 1:3. To też pokazuje jaki impuls dostaje drużyna Biało-Zielonych od zawodników wchodzących z ławki rezerwowych. W końcówkach meczów zawodnicy zaczynają mieć mniej siły, a władze Lechii nie zadbały o to, aby trener Grabowski miał na ławce jakościowych piłkarzy. Nic dziwnego, że to się przekłada na stracone punkty.

Też nie zadbano w klubie o to, aby defensywa była silniejsza. Miał być prawy obrońca. Nie ma i wszystko opiera się na Dominiku Pile. Na środek obrony sprowadzony został Bujar Pllana, który gra, ale już kilka goli obciąża jego konto. Znowu wszystko rozbija się o kasę.

Mecz Lechii ze Stalą w Mielcu rozpocznie się w sobotę o godz. 12.15. Transmisja w Canal+ Sport 3.

©P

Arka na fali wznoszącej. W Opolu wygra po raz piąty z rzędu w lidze?

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Piłkarze Arki Gdynia nie chcą się zatrzymać i celują w piąte zwycięstwo z rzędu w rozgrywkach Betclic 1. Ligi. Tym razem o punkty powalczą w Opolu z zespołem Odrą.

Arka liczy na kontynuację świetnej serii w lidze za kadencji trenera Tomasza Grzegorzki. Drużyna wygrała kolejne cztery mecze i chce to kontynuować. Żółto-Niebiescy gonią dwa czołowe zespoły w tabeli, bo za cel stawiają sobie bezpośredni awans do PKO Ekstraklasy.

Coraz lepiej spisuje się ofensywa Żółto-Niebieskich, a drużyna może liczyć na skuteczną grę swoich napastników. W tych spotkaniach gdynianie strzelili dziesięć goli, z czego aż siedem było autorstwa duetu

Karol Czubak (4 gole) i Szymon Sobczak (3 gole). Widać, że obaj zawodnicy coraz lepiej ze sobą współpracują, są skuteczni, a korzysta na tym cała drużyna. Także w sytuacji, kiedy Arka ma w podstawowym składzie tylko jednego z nich, bo w ostatnim meczu z Chrobrym Głogów z ławki rezerwowych wszedł na boisko Czubak, a w końcówce strzelił dwa gole na wagę zwycięstwa.

Karol Czubak gra o swój rekord. strzelił już 58 goli dla Arki i jest czwartym strzelcem w historii klubu, ale konkurenci są już bardzo blisko. Do trzeciego Grzegorza Nicińskiego traci dwa gole, a do prowadzącego Marcusa da Silvy pięć. Każda strzelona bramka zbliża go coraz bardziej do pierwszego miejsca, więc i w Opolu będzie chciał wpisać się na listę strzelców.

- Pojawiła się możliwość, by pobić rekord Marcusa da Silvy,

więc będę do tego dążył i z przyjemnością to zrobię. Może kiedyś mi wybaczy - powiedział z uśmiechem Karol Czubak.

Tak jak Arka jest w świetnej dyspozycji i na fali wznoszącej, tak Odra znajduje się po drugiej stronie. Drużyna ma problemy z jakością piłkarską i z wygranymi meczami. Odra ostatni mecz ligowy wygrała 21 sierpnia, kiedy pokonała u siebie zamkniętą ligową tabelę Stal Stalowa Wola 2:1, a w całym, sezonie zanotowała tylko dwa zwycięstwa. W poprzedniej doznała pogromu w Krakowie z Wisłą 0:5. Zespół z Opola w ostatnich pięciu spotkaniach ligowych zdobył tylko dwa punkty, a to już pokazuje, że to piłkarze z Gdyni przystąpią do niedzielnego spotkania w roli faworytów. Widać, że zespół bardzo dobrze funkcjonuje pod wodzą trenera Grzegorzki, a dzięki serii zwycięstw

nabrał jeszcze większej pewności siebie. Arka do drugiego miejsca traci trzy punkty, a do lidera osiem, więc liczy na zwycięstwo w Opolu, aby gonić konkurentów.

Odrę w najbliższym czasie czeka gra w osłabieniu, bo straciła z powodu kontuzji ważnego zawodnika. Adrian Łyszczarz zerwał więzadło krzyżowe przednie w prawym kolanie w meczu Pucharu Polski przeciwko drugiej drużynie Podbeskidzia Bielsko-Biała. 25-letni pomocnik jest już po zabiegu rekonstrukcji, a teraz czekać go będzie kilkumiesięczna przerwa od futbolu. Dla Odry to bardzo zła wiadomość, bo w tym na długo straciła podstawowego zawodnika.

Mecz Arki Gdynia z Odrą w Opolu rozegrany zostanie w niedzielę o godz. 14.30. Transmisja w TVP Polonia oraz w aplikacji tvpsport.pl. ©P



Arka Gdynia będzie chciała podtrzymać zwycięską passę w meczu z zespołem Odrą